

MOJE WĄTPLIWOŚCI

W odpowiedzi na artykuł p. Jolanty Tambor
w miesięczniku „Śląsk” w numerze 7 z lipca 2002

Od razu na początku muszę zaznaczyć, że nie jest moją intencją podejmowanie z autorką polemiki na poziomie naukowym, ponieważ językownawcą nie jestem. Jestem, można powiedzieć, przeciętnym „użytkownikiem” mowy śląskiej, który pragnie jej trwania i zatroskany jest o jej przyszłość. Mam nadzieję, że właśnie to zatroskanie usprawiedliwia moje wtrącenie się do dyskusji. Jeśli gdzieś się mylę, szczerze proszę o wyjaśnienie i naprostowanie błędów.

Pani Tambor większą część swojego artykułu poświęca wykazaniu podobieństwa gwar śląskich do gwar innych regionów Polski. Wierząc w jej naukową rzetelność myślę, że w tej sprawie ma rację. Nie zgadzam się natomiast z wnioskami, jakie autorka z tego podobieństwa wyciąga.

Dla człowieka takiego jak ja, przeciętnego „użytkownika” gwary i niefachowca istotniejsze jest pewne subiektywne odczucie inności, jakie z używaniem naszej mowy nieodmiennie się wiąże. Pani Tambor podaje przykłady podobieństw gwar śląskich do innych gwar i dialektów polskich. Niestety dla tego subiektywnego odczucia porównania takie są mało przydatne, ponieważ za wyjątkiem nielicznych wysepek gwary ludowe w Polsce zanikły. Prawie zawsze nasza mowa konfrontowana jest więc nie z dialektem małopolskim czy wielkopolskim, ale z polszczyzną standardową. A tu różnica wyczuwalna jest najczęściej już po kilku słowach i to zarówno przez Ślązaka jak i mieszkańca innego regionu, czego zapewne każdy z nas wielokrotnie a często i boleśnie doświadczył. W polszczyźnie funkcjonuje przecież obok zwrotu „mówić po polsku” także zwrot „mówić po śląsku” i wszyscy, nie tylko na Śląsku, ale także w Warszawie, Poznaniu i Krakowie dobrze rozumieją jego znaczenie.

Dowodem na powszechnie odczuwaną w Polsce inność a nawet obcość naszej mowy są też przykrości, jakie przez wiele lat spotykały a często nadal jeszcze spotykają ludzi się nią posługujących - gdyby Polacy z innych stron kraju tej obcości nie odczuwali, nie byłoby problemu bo nie byłoby przecież o co się sprzeczać.

Skoro więc nasza mowa powszechnie postrzegana jest jako inna, to należało by się teraz zastanowić, co z tą innością zrobić. Czy chcemy ją wytrzebić, czy chcemy ją zachować i pielęgnować a jeśli tak, czy należy podjąć w tym kierunku jakiegoś działania. Myślę, że dla wszystkich Ślązaków, także dla p. Tambor, odpowiedź jest oczywista.

W mojej opinii istota problemu nie polega więc na tym, czy nasza mowa wystarczająco różni się od polszczyzny, żeby można ją było nazwać językiem a liczenie różnic i udowadnianie na siłę jej związków z niemieckim czy czeskim jest bezproduktywne. Ubolewam też, że w ten jałowy spór zaangażowało się tak wielu ludzi szczerze, jak wierzę, pragnących odnowy naszej etnicznej i regionalnej tożsamości. Dla mnie wystarczającym uzasadnieniem dla podjęcia w tym kierunku odpowiednich działań są dwa podane wyżej stwierdzenia, tj. to, że naszą mowę odczuwamy jako inną, bardziej swoją i że tą inność chcemy chronić.

Dalej już się różnimy. Pani Tambor uważa, że kodyfikacja, stworzenie języka śląskiego spowodowałyby zniszczenie istniejącej różnorodności gwar. Jak wobec tego chronić naszą mowę - wdzięczny byłbym za pomysł, ale tego autorka niestety nie pisze. Z treści artykułu wynika, że w gruncie rzeczy nie należy nic robić - gwary obronią się same. W tej sytuacji na usta cisnie się pytanie - dlaczego gwary nie obroniły się same w innych częściach Polski, mimo że nacisk mediów jeszcze dwadzieścia lat temu był znacznie mniejszy niż dzisiaj. Czy może mylił się prof. Zaręba, na którego powołuje się autorka cytując jego zdanie o języku literackim, „który jak wiadomo niszczy gwary”.

Pani Tambor twierdzi, że właśnie „wariantywność”, brak norm i nie-

FAST 150 JAHRE NACH DEM ERSTEN DENKMAL WIRD EINE NACHBILDUNG ERRICHTET

Mit Recht wird der Graf Friedrich Wilhelm von Reden als der eigentliche Förderer der oberschlesischen Berg- und Hüttenindustrie bezeichnet. Untrennbar ist sei-ne Person mit der von ihm begründeten Königshütte verbunden. Aber erst 1853 ließ sich der Plan verwirklichen, dem großen Mann an der wichtigsten Stätte seines Wirkens, nämlich in Königshütte selbst, ein Denkmal zu set-zen. Daß der aus dieser Stadt stammende Bildhauer Theodor Kalide mit dem Entwurf beauftragt wurde, verdankte er seiner Verwandtschaft mit dem Initiator des Denkmalplanes, dem mächtigen Kattowitzer Industriellen Franz von Winckler, der allerdings die Einweihung am 29. August 1853 nicht mehr erlebte. Statt seiner hielt sein Generaldirektor, Friedrich Wilhelm Grundmann, die Festrede. In einem Bericht von Rudolf von Carnall heißt es von der Auffassung, die Kalide seiner Plastik zugrunde gelegt hatte: "Da steht nun das eherne Standbild des unvergeßlichen Mannes in Puffjacke und Leder, den Fuß auf einer Erzschwelle, in der Rechten das Steigerhäckel, mit der Linken auf einen Plan zeigend, - da steht der echte Bergmann, wie Reden es war, angesichts der Königshütte, der größten seiner Schöpfungen, angesichts der zahllosen Werke, welche ringsum ihre Rauch- und Feuersäulen zum Himmel senden."

Dieses Denkmal reiht sich zwanglos in den Kreis jener Werke ein, die aus der künstlerischen Schule Christian Daniel Rauchs hervorgegangen sind und die der preußischen Auffassung eines ausgeprägten Nationalgefühls insofern entsprechen, als sie die Realistik des Individualen und Kostümlichen mit der betonten Geste des Selbstbewußtseins ungezwungen zu vereinigen wußten, urteilt hundert Jahre später der bedeutende schlesische Kunsthistoriker Günther Grundmann.

Die Enthüllung des originalen Denkmals sollte ursprünglich am 25. September 1852 stattfinden, dem Tage, wo vor 50 Jahren der Reden-Ofen der Königshütte angeblasen worden war. Aber wegen einer in der Umgebung grassierenden Cholera-Epidemie fiel die Feier aus und konnte daher erst am 29. August 1853 im Beisein des preußischen Königs stattfinden.

Das Denkmal auf dem Redenberg, von dem eine hervorragende Fernsicht auf Königshütte und Chorzow sowie auf die Industrieanlagen bis nach Kattowitz und Beuthen genossen werden konnte, wurde in der Folgezeit zu einem beliebten Ausflugsziel für die Bevölkerung im Revier. Vor allem das sogenannte „Wärterhaus“, das heute noch an seinem alten Platze steht, entwickelte sich zu einem beliebten Ausflugslokal mit Ausschank.

„Polenfressender Preuße“

Die Abstimmungskämpfe zwischen 1919 bis 1921 überstanden das Standbild und der lichtgraue polierte Marmorsockel, die zusammen eine Höhe von 3,10 Metern ergaben, mit wenigen Kratzern. Obwohl es von Seiten der polnischen Zuzügler und Aufständischen immer wieder Bestrebungen gab, das Denkmal abzutragen, überstand es die Teilung Oberschlesiens. Erst als die Gewitterwolken des Krieges aufzogen, schlugen in den Morgenstunden des 18. Juli 1939 polnische Nationalisten dem Standbild den Kopf ab. Nur ein Jahr später wurde das Reden-Denkmal wieder neu errichtet, unter großem Pomp der Nationalsozialisten. Schließlich verschwand das Denkmal nach der Inbesitznahme Königshüttes durch die polnische Verwaltung 1945 endgültig.

Vor drei Jahren schlug die „Juliusz-Ligon-Gesellschaft der Liebhaber von Königshütte“ (Stowarzyszenie Miłośników Chorzowa im. Juliusza Ligonia) dem Magistrat der Stadt vor, das Denkmal originalgetreu wiederherzustellen und dabei den größten Teil der notwendigen Finanzierung aufzubringen. Ein heftiger Streit entfachte dann im vergangenen Jahr, als

konsekwencja w mówieniu nawet u jednej i tej samej osoby są istotą języka gwarowego. Istotnie, tak pojętej gwarze nie zagraża wymarcie, ponieważ zawsze i w każdym kraju znajdzie się margines ludzi prymitywnych, którzy poprawnego języka nauczyć się nie potrafią. Tylko czy o taką gwarę śląską nam chodzi?

Autorka podaje też przykłady przemieszczenia wymowy gwarowej z ogólnopolską („*jo jom widze*” i „*przida tam pod szkole*” zamiast „*jo jom widza*” i „*przida tam pod szkola*”). Moje pytanie jest następujące - czy mamy tu jeszcze do czynienia z autentyczną gwarą, czy po prostu z chaotyczną i byle jaką polszczyzną? Czy przykłady, które podała pani Tambor, nie są przykładami postępującej erozji naszej mowy i jej rozplywania się w języku ogólnym pod wpływem mediów. Czy nie będzie tak, że za dwadzieścia lat po śląskich gwarach nie pozostanie już nic a będzie tylko dukanie złą polszczyzną? Oczywiście zamiast starych gwar ludowych pojawiają się nowe - np. gwary subkultur młodzieżowych, stadionowych szalikowców, gwara więzienna. Tylko czy o to nam chodzi?

Pierwsza strona artykułu ozdobiona została fotografią ubranej w strój ludowy laureatki konkursu na Ślązackę Roku 1996. Jeśli istotą mówienia gwarowego jest brak zasad, niekonsekwencja i mówienie „wariantywnie”, to w jaki sposób jurorzy są w stanie wyłonić zwycięzcę? Po co organizować konkursy krasomówcze, „Śląskie śpiewania” itp. Czy nie należało by przyznać pierwszych nagród wszystkim, którzy się zgłoszą? Przecież jurorzy czymś się kierują oceniając, że ktoś mówi autentyczną gwarą, ktoś mówi pięknie a ktoś inny nie.

Niedawno przeczytałem w „Dzienniku Zachodnim” zarzut pod adresem jednego ze śląskich aktorów, który podobno występując w jakiejś reklamie miał powiedzieć „*Bydziesz miała wyncyj czosu dlo mie*” zamiast „*Bydziesz miała wyncyj czasu dlo mie*”, co ponoć doprowadziło do wściekłości prof. Miodka. Jeśli istotą mówienia gwarowego jest brak zasad, to na jakiej podstawie twierdzimy, że forma „*czasu*” jest prawidłowa a forma „*czosu*” nie?

Właśnie o to chodzi przy kodyfikacji. Chodzi o to, żebyśmy opisali kilka reguł, które pomogą ludziom takim jak ja, chcącym mówić po śląsku, ale nieustannie wystawionym na napór otoczenia i mediów posługujących się lepiej lub gorzej językiem literackim, odróżnić to, co jest autentycznie śląskie, od tego, co jest naleciałością, slangiem i bylejakością. Chcemy mówić po śląsku i chcemy, żeby nasza mowa była porządną i piękną. Chcemy unikać błędów, chcemy mówić świadomie i z namysłem, a nie byle jak.

Pamiętam też pewną wypowiedź prof. Miodka, który stwierdził, że bardzo nie lubi, gdy do konkursów gwary zgłaszają się ludzie ocytani i wykształceni, wtrącający do swoich gwarowych wypowiedzi wiele słów zapożyczonych z języka ogólnego a oznaczających pojęcia abstrakcyjne. Profesor stwierdził, że nie jest to autentyczna gwara i że on takich kandydatów natychmiast odrzuca.

W znanych mi opracowaniach dotyczących językoznawstwa i dialektologii rozróżnia się pojęcia regionalizmów i dialektyzmów. Regionalizmy to takie odmiany terytorialne języka ogólnego, które występują w języku ludzi wykształconych i które są w nim akceptowane. Natomiast dialektyzmy to odmiany języka używane przez ludzi niewykształconych i nieakceptowane w języku kulturalnym. (Patrz definicje Zygmunta Saloniego w *Encyklopedii językoznawstwa ogólnego*, wyd. 2. poprawione i uzupełnione, red. K. Polański, Wrocław 1999, str. 485 i Walerego Pisarka w *Encyklopedii języka polskiego*, wyd. 3 poprawione i uzupełnione, Wrocław 1999, str. 318).

Określenia te wiążą pojęcia dialektu i gwary z brakiem wykształcenia i niskim statusem społecznym. Czy wizja p. Tambor nie ma przypadkiem polegać na tym, że śląskie elity, warstwy wykształcone mają posługiwać się polskim językiem literackim, porządnym i „poprawnym”, natomiast gwara rozumiana jako byle jaka i chaotyczna polszczyzna ma być zarezerwowana dla plebsu, który pozostaje plebsem, bo języka poprawnego nie jest się w stanie nauczyć? Czy nie jest to sprowadzenie śląskości do karczmy piwnej, krupnioków i prymitywnego humoru w stylu p. Stasiaka? Czy Ślązacy mają się kształcić, czy pozostać godającym po śląsku niewykształconym plebsem? A jeśli wszyscy się wykształcą, czy zostanie jeszcze coś z naszej mowy? Czy bycie człowiekiem wykształconym, kulturalnym i jednocześnie Ślązakiem kultuwującym swoją mowę jest niemożliwe?

sich der Stadtrat mehrheitlich darauf einigen konnte, den preußischen Grafen nicht am historischen Ort auf dem Redenberg aufzustellen, da diese Parkanlage inzwischen dicht bebaut ist und nicht mehr zu den Vorzeigestätten der Revierstadt zählt, sondern im Zentrum der Stadt. Vom Jünglingsverein über Ratsfraktionen bis hin zum „Weltverband des Bundes der Soldaten der Armia Krajowa“ hagelte es heftige Kritik. Für die SLD stünde das Denkmal als Symbol für deutsche Unterdrückung, der mächtige örtliche Kombattantenverband sähe in Reden den „polenfressenden Preußen“ (UO berichtete ausführlich, siehe die Ausgaben 7/01, S. 5 und 13/01, S.1). Bedenklich stimmte damals, daß Lokal- und Regionalzeitungen sogar bestürzende nationalistische Äußerungen ohne Bedenken zum Abdruck brachten, die teilweise sogar in erschreckenden Beleidigungsorgien mündeten.

Feierlichkeiten am 6. September

Die Stadtverwaltung ließ sich auch mit Blick auf das Erscheinungsbild der Stadt im Ausland nicht beirren und hielt an ihrer Entscheidung fest. Dennoch konnte die ursprünglich zum 250. Geburtstag des Grafen Reden am 23. März diesen Jahres geplante Einweihung des Denkmals nicht durchgeführt werden. Diese Feier, über die noch nichts genaueres zu erfahren ist, soll nun am 6. September am Plac Hutników, dem trockengelegten ehemaligen Hüttenteich, nahe des Rings stattfinden. Erwartet werden Vertreter der Stadtverwaltung und der Ratsfraktionen, sowie Vertreter aus Buchwald im Riesengebirge, dem Todesort Redens, und Tarnowitz sowie Angehörige der Familie Reden aus der Bundesrepublik.

Nach historischen Aufnahmen von Theodor Kalides Standbild wurde eine Nachbildung vom Tichauer Bildhauer August Dyrda in den vergangenen beiden Jahren nachmodelliert. Der Bronzeuß und die Ziselierung erfolgten bei einer Kunstgießerei in Posen.

Bedauerlicherweise ist auf eine originalgetreue Nachbildung des Denkmals verzichtet worden; die historische Widmung auf der Rückseite des Sockels „DEM BEGRÜNDER DES SCHLESISCHEN BERGBAUES / DIE DANKBAREN GRUBEN- UND HÜTTEN-GEWERKE / UND KNAPPSCHAFTEN SCHLESIENS. 1852“ wird durch eine ausschließlich polnischsprachige Texttafel ersetzt: „Milosnicy Miasta Chorzow / po zniszczeniach zrekonstruowali pomnik wielkiego czlowieka / tworca przemyslu XVIII i XIX wieku na Slasku / oddajac tym czesc Fryderykowi Wilhelmowi Hrabiemu von Reden / Milosnicy Chorzowa - 6.9.2002 - Chorzow“ (Liebhaber der Stadt Königshütte / haben nach seiner Zerstörung dieses Denkmal rekonstruiert / Zu Ehren der Persönlichkeit und des Begründers der schlesischen Industrie im 18. und 19. Jahrhundert). Unverständnis muß sich zeigen, daß der Namenszug des Oberbergrates an der Vorderseite des Sockels in polonisierter Form eingemeißelt wird: „Fryderyk Wilhelm Hrabia von Reden“.

Graf Reden, dem das Revier sein Dasein zu verdanken hat, erhält nun schon sein drittes Denkmal angedacht - hoffentlich ein letztes Mal.

(Weitere Berichte und Bilder vom neuen Denkmal in polnischer, ober-schlesischer und deutscher Sprache u. a. von Peter Karl Szczepanek finden Sie auf der Internetseite www.slonsk.com)

Joachim Stebel (UO)

Wer war Graf Reden?

Friedrich Wilhelm von Reden wurde am 23. März 1752 in Hameln an der Weser geboren. Nach gründlicher Ausbildung im Bergfach und in der Jurisprudenz sowie der obligaten Bildungsreise nach Frankreich und England wurde Reden nach kurzer Tätigkeit in der Hannoveraner Kammer von seinem Onkel, dem preußischen Bergbauminister Friedrich Anton Freiherr von Heynitz, in preußische Dienste berufen. 1779 wurde er zum Direktor des Schlesienschen Oberbergamtes in Breslau ernannt.

Reden schuf auf der Grundlage des traditionsreichen aber entwicklungsbedürftigen Bergbaus in Oberschlesien in 25 Jahren eine blühende Montanregion. Er sorgte für die Infrastruktur, indem er die Transportwege verbesserte, Wasserstraßen schuf, Bergarbeitersiedlungen bauen ließ, sich um die allgemeine Schulbildung und den bergmännischen Nachwuchs kümmerte. Sein geologischer Spürsinn ließ ihn neue Lagerstätten finden, und seine naturwissenschaftlichen und technischen Kenntnisse erlaubten ihm, sie zu erschließen. Er führte technische Neuerungen ein, z.B. die Gewinnung von Stahl mit Hilfe von Koks (seit 1789) oder 1788 eine englische Dampfmaschine zur Wasserhaltung im Bergbau, die dann in

Teraz parę problemów „natury technicznej”. Zapewne wszyscy chcemy, żeby śląskiej gwary (gwar) uczono w szkole w ramach edukacji regionalnej, wydaje się, że (przynajmniej oficjalnie) sprzyjają temu nawet władze oświatowe. Jeśli istotą mówienia gwarowego jest brak zasad, to czegoż będziemy biedne dzieci uczyć. Czy lekcja gwary ma wyglądać tak, że przyjdzie nauczycielka i powie „*Mówta co chceta*”? Póki co zwykle wygląda to tak, że sprowadza się jakąś staruszkę i każe jej opowiadać. Tylko jak efektywne jest takie nauczanie? A co będzie, gdy wszyscy starsi ludzie wymrą?

Język, którego nie można się nauczyć skazany jest na wymarcie razem z ostatnimi potrafiącymi się nim posługiwać ludźmi. Jeżeli chcemy pracować nad odnową naszej mowy, musimy opracować programy jej nauczania, musimy mieć podręczniki. Nie jest możliwe napisanie programów i podręczników bez przynajmniej częściowego ustalenia zasad - czyli kodyfikacji.

Powinniśmy też zadbać o upowszechnienie tekstów pisanych przez ludzi utalentowanych, potrafiących w naszej mowie wyrazić piękno - np. laureatów konkursów, o których wspominałem wyżej. Tylko jak to zrobić bez uporządkowanej pisowni? Póki co każdy pisze inaczej a chaos ten tylko po części uzasadniony jest różną wymową gwarową w różnych częściach regionu. Często nawet „wariantywność” w piśmie przejawia się jako niekonsekwencja w pisowni stosowanej przez jednego i tego samego autora! To wszystko bardzo utrudnia czytanie i zniechęca czytelników. Jeśli chcemy upowszechnić czytanie tekstów w mowie śląskiej, musimy dopracować się jakiegoś uporządkowania pisowni.

Wreszcie to, co uważam za najważniejsze. Dawno temu ktoś mądry powiedział, że **granice naszego języka są granicami naszego świata**. Nie samym chlebem człowiek żyje, prócz jedzenia i spania w każdym z nas są potrzeby duchowe - każdy człowiek potrzebuje i dąży do harmonii i piękna. Jeśli nasz język będzie byle jaki, niedbały, chaotyczny i brzydki, nasza umysłowość i duchowość też będą byle jakie, chaotyczne i prymitywne. Tacy pozostaniemy my, takim pozostanie nasz Śląsk. Jeśli nie chcemy, żeby nasza śląska mowa stała się dla nas kamieniem młyńskim u szyi albo kulą u nogi, musimy albo się jej wyrzec, albo zadbać o jej sprawność i piękno. Pierwsza z tych możliwości oznaczałaby duchowe samobójstwo i koniec naszej tożsamości. Język jest bowiem chyba najważniejszą ostoją etniczności i dlatego tak zażarcie wszyscy swoich języków bronią. Pozostaje nam więc tylko druga możliwość. A do tego potrzebujemy nazwania po imieniu paru zasad, które właśnie jest kodyfikacją.

Choć powinniśmy się starać, żeby to uporządkowanie było możliwie pojemne i elastyczne, zapewne nie zmieści się w nim cała różnorodność naszych gwar. Ale alternatywą jest zanik śląskich gwar w ogóle, tak jak stało się to już w innych dzielnicach kraju. Zrozumieli to dobrze Kaszubi i Lemkowie, kończący właśnie kodyfikowanie swojej mowy, a także wiele małych narodów i grup etnicznych zamieszkujących inne kraje europejskie.

Jakiś czas temu posłałem do redakcji „Echa” notatkę prasową poświęconą wydaniu elementarza do nauki języka kaszubskiego. Można w niej przeczytać m. in. (podkreślenie moje):

„**Elementarz uczy języka literackiego, a nie potocznego.** Warto zaś wiedzieć, że w powszechnym użyciu na Kaszubach są trzy zasadnicze dialekty: północny - używany w powiatach wejherowskim i puckim, środkowy - używany głównie w okolicach Kartuz i częściowo Kościerzyny oraz południowy stosowany aż do linii Chojnic. Prócz tego istnieje jeszcze wiele innych odmian, np. niemiecki językoznawca, Fryderyk Lorens, wyróżniał w pierwszych latach XX wieku aż 75 lokalnych gwar.”

Skoro ani Kaszubi ani inne mniejszości nie obawiali się zniweczenia różnorodności swoich języków, dlaczego my nie mamy pójść podobną drogą?

Język skodyfikowany nie musi być i nigdy nie będzie dokładnie taki, jak ten, którym mówi się u mnie w domu, na podrybnickiej wsi, albo na przedmieściu Katowic. Jest to niemożliwe chociażby ze względu na niekonsekwencję w mówieniu u pojedynczych osób, o którym też pani Tambor pisała. Dzięki normie mamy jednak pewien punkt odniesienia, dzięki któremu wariantowość nie rozpełza się w kompletny chaos uniemożliwiający porozumienie się. Język skodyfikowany ma być na tyle podobny do języków, którymi się posługujemy w domu, żeby każdy z nas mógł go uz-

Tarnowitz aufgebaut wurde.

1786 wurde Reden in Anerkennung seiner Verdienste um den schlesischen Bergbau in den Grafenstand erhoben. 1802 wurde er Nachfolger seines Onkels Friedrich Anton Freiherr von Heynitz als preußischer Bergbauminister und verwaltete dieses Amt bis zu seiner wenig ehrenhaften Entlassung 1807. Er zog sich auf sein Schloß und Mustergut Buchwald im Riesengebirge zurück, wo er am 3. Juli 1815 starb und in der Abtei im Park von Buchwald beigesetzt wurde.



Unser Oberschlesien 15.8.2002

SCHLESISIEN HEUTE 1.9.2002

NOWA KSIĄŻKA EWALDA STEFANA POLLOKA

W księgarniach Górnego Śląska można nabyć nową książkę Ewalda Stefana Polloka o znamienym tytule „**Śląskie tragedie**”. Na 300 stronach autor zajmuje się przeważnie powojenną historią Śląska, o której przez ponad 50 lat nie pisano, lub też zmieniano ją, kłamano, wmawiano społeczeństwu co innego jak w rzeczywistości było.

Na obwolucie książki czytamy:

Powojenna historia pisana była zgodnie z wytycznymi władz totalitarnego państwa polskiego. Historycy prześcigali się w tworzeniu i rozpowszechnianiu nieprawdziwych faktów, jednocześnie gloryfikowali PRL nawet tam, gdzie jej stanowisko dalekie było od chlubnego. Ślązacy przeszli przez piekło: plebiscyt, powstania (wojna domowa), hitlerowski reżim, wojna, powojenne obozy, w których poniosło śmierć tysiące mieszkańców, deportacja, wypędzenie, odnoszenie się don Ślązaków jak obywateli II kategorii.

Autor w sposób rzetelny przedstawił część śląskich tragedii. Cytuje wiele polskich dokumentów rzadko lub prawie dotąd nie publikowanych, licząc na to, że czytelnicy przyjmą ze zrozumieniem kolejne wyjaśnienia „białych historycznych” plam”, w jakże trudnej i bolesnej nieraz historii.

Jeżeli książka nie będzie do nabycia w księgarni, można ją zamówić pod nr telefonu

PI - 077-4845146

D - 0208-493928

dalsze informacje można znaleźć na stronach www.Slonsk.de

nać za swój. Potrzebujemy języka, który będzie nam dawał poczucie swojskości a przy tym poczucie staranności i piękna. Tylko taki język pozwoli nam na twórczy rozwój bez rezygnowania z naszej tożsamości.

Naprawdę nie rozumiem, dlaczego prowadzona w ten sposób ochrona naszej mowy miałyby komuś wyrządzać szkodę, albo tym bardziej zagrażać interesom Polski. Do używania skodyfikowanego języka nikt przecież nikogo nie będzie zmuszał, nikt też nie ma zamiaru eliminować ze Śląska języka polskiego. Chcemy po prostu ocalić naszą etniczność, a mowa jest jej najważniejszym składnikiem. Chronić mowę działamy w dobrze pojętym interesie całego kraju, ponieważ chronimy jego kulturowe bogactwo. Dlaczego Śląsk nie ma być regionem dwu albo i trójjęzycznym?

Tak jak skodyfikowanie mowy kaszubskiej nie wywołało wojny domowej a wręcz przeciwnie, pomaga w rozwoju kulturalnym Pomorza, tak skodyfikowanie mowy śląskiej może przyczynić się rozwojowi i zgody w naszym regionie. Nasza tęsknota za swojskością wreszcie będzie mogła się zmaterializować i nie będzie już znajdować ujścia w agresji wobec obcych.

Za działaniami ludzi przeciwnych ugruntowaniu naszej etniczności kryje się strach. Myślę, że popełniliśmy błąd strasząc Polaków secesją i deklarując odrębność narodową. Uważam, że lepiej jest skoncentrować się na języku, który, jak już pisałem, jest najważniejszą etniczności ostoją.

Józef Kulisz

ZAPIS ŚLĄSKI W CZASACH PRUSKICH

Wprowadzając do ewidencji komputerowej akta USC (w celu szybszego wyszukiwania i drukowania) z lat 1898 - 1922, zauważyłem występowanie (przy podpisach aktów, o ile akta są podpisane) ciekawego sposobu zapisu imion i nazwisk.

Może na początek najciekawsze: w kilkunastu USC, jak również w innych dokumentach tego okresu, pisanych przez Ślązaków znajduje się litera "y" zastępujące występujące w językach polskim i niemieckim "y" (choć nie każde) lub czasami "i", jest to sposób zapisu (stosowany jeszcze w latach 40) na "miękkie y", na które poprzednio proponowałem znak "ë". Jeszcze w akcie urodzenia mojego ojca z 1944 widnieje nazwisko babci zapisane "Zydzioł" przy obecnym polskim zapisie "Żydzioł". Często w tzw. "typowo polskich nazwiskach" jak np. moje "Kalinowski" zapis wyglądał następująco: "Kalinowskÿ". Zazwyczaj zawsze zastępowano tym znakiem znajdujące się końcu nazwiska "i" oraz niektóre "y" występujące po miękkich samogłoskach w środku nazwiska. Było to tak rozpowszechnione, że stosowano ten zapis nie tylko przy aktach z adnotacją "polnisch" (chodzi o odczytanie aktu w języku polskim, z powodu nie znajomości niemieckiego przez stronę), które głównie na wsiach są podpisywane krzyżykami: "+++", ale również w samej treści aktów, a więc wypisywane przez urzędników pruskich. W alfabecie niemieckim taki znak jak "ÿ" nie występuje. Co więc spowodowało używanie tego znaku? Wpływy tureckie wydają się mało prawdopodobne (choć w tureckim alfabecie jest taki znak). Czy już wtedy podejmowano zakrojone na szeroką skalę próby unormowania pisowni "Wasserpolnisch"? A jeśli, to jak dziś dotrzeć do wyników ich prac? Pytania na które dziś jest trudno uzyskać odpowiedź.

Inną ciekawą sprawą jest stosowanie w zapisie śląskich nazwisk tzw. "doppelliter" czyli liter podwójnych. Oprócz typowych dla niemieckiego "ss" występującego na Śląsku zazwyczaj w parze (przy użyciu zapisu alfabetem łacińskim brak jest możliwości oddania różnicy pomiędzy "długim s" i "krótkim s") właśnie długie/krótkie, zastępowane czasami znakiem "ß" lub w późniejszym czasie "hs" (spowodowane wielkim podobieństwem liter alfabetu gotyckiego "h" i "długie s"). Dla uniknięcia nieporozumień jedynie dla celów tego artykułu zastąpię "długie s" znakiem "ß", które we współczesnym niemieckim jest trochę do niego zbliżone. W czasach pruskich były to zupełnie różne głoski. Typowym przykładem może być zapis nazwiska: "Osadnik" (przy dzisiejszej pisowni), zapisywane głównie: "Oßsadnik", co w latach późniejszych odczytywano dwójako "Ossadnik" lub "Ohsadnik". Prócz pary "ßs" często występują inne "doppellitery" jak: "tt" ("Klytta"), "pp" ("Sappa"), "ll" ("Kollodzieiczek"), co miało na celu odpowiednie utwardzenie czytanych głosek.

Osobną sprawą jest stosowanie zapisu dwu i więcej znakowego dla oddania głosek słowiańskich jak "sz/s", "cz/c", "szcz/śc" (specjalnie zastosowałem te łamanie, ponieważ dla ówczesnych mieszkańców Śląska nie stanowiło to istotnego problemu). O ile dla "cz" stosowano zapis (preferowany przez urzędników) "tz", który Ślązacy poprawiali na różne sposoby: "cz" ("Filipczyk/Filipczyk"), "tsch" ("Kwietzinski/Kwietzchinsky") lub "z" ("Filipczyk/Filipczyk"), o tyle dla "sz" preferowany zapis "sch" pozostawał w większości przypadków bez zmian ("Moschny", "Schitek", "Muschik", "Schlimok", "Schlenzok"). Całkiem inną sprawą jest zapis dźwięku "szcz" lub "śc", który na Śląsku wymawiany jest raczej jak "sz" czy "śc". Zapis preferowany przez urzędników pruskich "szcz" ("Maruszczyk") poprawiany był na "szc" ("Maruszczyk"), "sc" ("Plascymonka"), czy "sz" ("Maruszyk" czytać: Marusczyk!).

Całkiem inną sprawą, również wartą poruszenia, jest zniekształcanie nazwisk ("Cogel"/"Zogiel"), germanizacja ("Fritz"/"Fryc") czy polonizacja (takie rzeczy również się zdarzały!) ("Kwiecinski"/"Kwietzchinsky"). Często w zapisie nazwiska stosowanym przez urzędnika znajdują się typowo polskie znaki jak "z" ("Xionzek"/"+++"), "ą" ("Książek"/"Xionzek"), "ł" ("Kozioł"/"Koziołł"). Nie można dziś stwierdzić dlaczego pruscy urzędnicy na Śląsku polonizowali nazwiska, o ile sobie tego strona nie życzyła (podpis innym nazwiskiem niż na górze aktu może o tym świadczyć). Nas w szkołach uczono jedynie o germanizacji Śląska w czasach pruskich, a dokumenty wykazują jednak także polonizację.

Na razie to tyle moich uwag i spojrzenia wstecz.

Piotr Kalinowski

PO OWOCACH ICH CZYNÓW POZNACIE ICH ...

Szanowna Pani J. Tambor, szanowny Panie T. Kijonka,

Po przeczytaniu artykułu „Kodyfikacja gwary ?” w numerze 7/2002 „Śląska” postanowiłem napisać do Państwa **otwarty list**, ponieważ stanowczo nie zgadzam się z konkluzją autorki, która przytaczając garść faktów językowych próbuje wykazać bezzasadność wszelkich działań na rzecz tworzenia „języka śląskiego”. Bardzo żałuję, że (nie pierwszy to raz) o faktach językowych nie informuje się po to, aby edukować i uświadamiać samych zainteresowanych - aby ci mogli lepiej zrozumieć specyfikę swojej mowy oraz dzięki tej wiedzy świadomie przeciwdziałać powolnemu „rozplywaniu się” swojej gwary w mowie ogólnopolskiej - lecz jedynie w kontekście walki politycznej z konkurencyjną wizją śląskości.

Przeraża mnie upór, z jakim autorka rozprawia się z ideą **nadania mowie ludowej Śląska większego prestiżu w życiu publicznym**. Że taka właśnie idea przyświecała Gorzelikowi mówiącemu o potrzebie „kodyfikacji” gwary, jest chyba jasne. J. Tambor zdaje się celowo nie dostrzegać kontekstu tej wypowiedzi - czyli potrzeby obrony mowy Górnego Śląska przed wymarciem - skupiając się za to na roztrząsaniu słownikowej definicji słowa „kodyfikacja”.

Autorka wspaniałomyślnie zgadza się z potrzebą „pełnego, ścisłego i dokładnego opisu gwar śląskich”. Same opisy, przechowywane w podziemnych bibliotekach, nie wystarczą jednak w realizacji nie dostrzeżonego w ogóle przez autorkę celu - mianowicie przetrwaniu gwary. Nie kwestionuję ogromnej wartości takiego opisu dla nauki, pragnę jednak zauważyć, że Ślązacy, którym leżą na sercu nasze sprawy językowe, mają dość teoretyzujących naukowych dysput w wąskim gronie panów profesorów w uniwersyteckich „wieżach z kości słoniowej”, z których nie wynikają żadne konkretne działania. Nie dziwi więc, że „śląscy narodowcy” - jako ugrupowanie z natury rzeczy śląskie - domagają się czegoś więcej niż tylko **naukowego monitoringu zanikania gwary**.

Niezrozumiałe są zastrzeżenia pani Tambor natury ogólnej w stosunku do „kodyfikacji” rozumianej jako „usystematyzowanie czegoś w postaci obowiązujących lub zalecanych norm”. Użyty tutaj argument, że takie normy są właściwie **językiem a nie gwarom**, nie dyskwalifikuje *per se* idei kodyfikacji gwar Śląska. Nie wynika z niego, że gwarą nie może nabyć statusu języka, tym bardziej, jeśli głównym kryterium odróżniającym gwarę od języka ma być istnienie norm. Normy - także w języku polskim - są w dużej mierze kwestią umowną - mimo że wypracowaną przez wieki piśmiennictwa. W zasadzie nic więc nie stoi na przeszkodzie, abyśmy się mogli „umówić” w kwestii cech „języka śląskiego”.

Zresztą znany to już w Polsce fenomen: np. łemkowskie gwary języka ukraińskiego doczekały się ostatnimi laty podręczników szkolnych. Jakoś musiano się dogadać w sprawie jednolitego zapisu, mimo że gwary łemkowskie są wewnętrznie zróżnicowane, choćby słownikowo. Żaden polski naukowiec nie argumentował, że Łemkom mówiącym gwarą ukraińską wolno w szkołach uczyć się tylko po ukraińsku (pomimo, że wielu Łemków czuje się Ukraińcami), gdyż nie istnieje język łemkowski a jedynie łemkowski dialekt języka ukraińskiego. W ten sposób ukraińscy Łemkowie otrzymali swój „język łemkowski”. Różnica między Łemkami a Ślązakami jest taka, że Polsce wygodniejsza jest bezpaństwowa mniejszość łemkowska niż ukraińska, która to ma oparcie w silnym państwie ościennym. Ślązacy natomiast wygodniejsi są jako grupa etniczna polska, która - jako że żyje we „własnym” państwie polskim - nie może żądać żadnych praw mniejszościowych. Jak więc Państwo widzą, zapatrywania na sprawy językowe zależą w dużym stopniu od czynników politycznych, pozajęzykowych. Nadużywanie argumentów językowych na obalunek polityki jest w moim odczuciu **obludą i reliktem z poprzedniej, dawno minionej epoki**.

Niedopuszczalna jest insynuacja pani Tambor, która zarzuca, iż twierdzenie, że „mowa nie skodyfikowana prowadzi do jej obumarcia”, to **manipulacja !!!** Manipulacją jest odwracanie słów Gorzelika, który powiedział, że „języki nie opisane umarły śmiercią naturalną” (wypowiedź przytoczona w tym samym artykule). Trudno zaprzeczyć wyrażonej trosce, że języki regionalne, bez aktywnej opieki ze strony państwa, nie mają w dzisiejszej Europie szans na przetrwanie. Trudno sobie taką opiekę wyobrazić bez działalności wydawniczej, podręczników szkolnych, litera-

MAŁA, ALBO - PRYWATNA, ALBO - LOKALNA OJCZYZNA? - JAKA?

Są to odpowiedzi, na pytania jednego z czytelnika, potwierdzającego zanikania śląskości, ale szczególnie interesują go sprawa nazewnictwa „hamatów, domowin, ojczyzn”. W Polsce lepiej było wprowadzić pojęcie związane z ojczyzną, bo ma ona swoją tradycję walki o wolność w swojej historii. W Niemczech związki przesiedleńców czy landsmannschaften też mówią o nowym Heimacie? Nowy heimat? nowe miejsce urodzenia? Mają tu też na myśli Vaterland jako ojczyzna, tylko w Niemczech słowa te przyjęły inne znaczenia i barwy w ostatnich czasach. Albo pod pojęciem Heimatu myślą o Vaterlandzie albo o nowym Heimacie - z definicji wygodnictwa i konsumpcji kapitalistycznej - jest tam heimat gdzie zarabiam, gdzie mi jest lepiej, właściwie obecny rząd też ma takie zdanie, nie chcąc wnikać więcej w tradycję, historię m.in. naszą śląską i tak do tego przyzwyczajają obywatela, idąc na łatwizny, spływając naszą tożsamość - czy tak Ty też rozumiesz? Przypomnijmy sobie przed miesiącem wystąpienie prezydenta Niemiec Johanneses Raua, poruszając temat złej konsumpcji prowadzącej często do „amoklufu”, jak to w Erfurcie było. Przeciwstawił się tu prezydent, podając zły przykład globalizmu w świecie - na siłę robienie forsy, bez uwzględnienia złych następstw. Motywował to nasz prezydent bardzo prosto - człowiek zapomniał o tradycji, kulturze swojego heimatu (w NRD, ale i u nas też), skąd jego korzenie się wywodzą i z tym związane pozytywne cechy charakteru człowieka.

Według kolejno: pani prof Simonides -1, pana prof Szczepańskiego -2 i ostatnia wg dr Ziębińskiego z Pszczyny jako -3-a ojczyzna na Śląsku: jako przeciwieństwo wielkiej Ojczyzny - dla której trzeba „walczyć” czyli ginąć, politykować, jak w polskiej historii, na wszystkich frontach świata „za naszą i Waszą wolność”, - w małej Ojczyźnie - jak nazwa wskazuje też w walce, bojowo by się utrzymać na nowym.

Tłumaczył profesor na przykładzie bloków w Tychach, gdzie jedni z podwórka blokowego to sami ze Wschodu - lwowskiego, inne podwórko to tylko kieleckie inne to radomskie, inne to też jakieś inne - prywatne - każdy ma swoją prywatną Ojczyznę.

Lokalna w Pszczynie wg śp. J. Ziębińskiego - lokalna dla miasteczka Pszczyna - środowiska z terenów od Piasku do Goczałkowic i Suszca i Bojszów - z tradycją pszczyńską jaka wynika z zamku Pszczyńskiego - książęca, historyczna, inna od innych - na tym terenie wyrosła. Ale inne tereny nie mają takiej tradycji i tak bogatej w dziejach - ale nam tu nie chodzi tylko o dzieje, ani o .. itd.

Jak u dzieci, obserwatorów - a przejawiała się tu ta kultura lokalnych lub prywatnych ojczyzn - dzieci mówiły: na jednym podwórku dostali po zębach od z kieleckiego, na innym od z rzeszowskiego, a jeszcze na innym od z Kresów - taką tu kulturę się wprowadza - są to fakty usłyszane od dzieci - dobrych obserwatorów w życiu.

Jak Pan, panie W.G. mieszkał w Tychach i urodzony w Tychach i jest pan Niemcem, bo ma pan Stamm-Buch to Tychy są dla pana Heimate. A Berlin nie jest pana heimate, Berlin teraz dla pana jest „małą ojczyzną”. Tu pan musi od nowa (albo rodzice, jak tu przyjechali z panem jako dzieckiem) „walczyć” o pracę, o chleb, o pieniądze, trzeba wyrabiać sobie nowe stosunki wśród sąsiadów, w pracy, w szkole, trzeba z wszystkim „walczyć” - nie jako walka na śmierć, ale od nowa dążyć, czyli nazywam to walczyć. A gdy pan powie urodzonemu na podwórku w Berlinie, że to pana też Heimat - to on pana wyśmieje - co? „Heimat” - dla ciebie, gdy ty nie znasz naszych zwyczajów, tradycji, pieśni od 1-ej klasy i przedszkola, historii, kultury, filozofów, wieszcy, nie znasz ich gwary, języka mówionego - wyśmieją się. A szczególnie wyśmieją się w małych miasteczkach i na wsiach - gdzie zakorzeniony jest większy jeszcze patriotyzm od ziemi ojców jak w dużym mieście, gdzie co drugi albo 7 osób na 10-ciu jest obcych w tym mieście.

Pan mieszka w małej ojczyźnie - „dej se to pedzieć niywiorny Ślonzoku”, albo Polaku, coś przybył np. do niemieckiego miasteczka i myślisz, żeś w heimacie - nie, jesteś w małej ojczyźnie.

Jako autor tego artykułu - też jestem w Monheim/Rh w małej ojczyźnie - tu walczę - szczególnie ja, kiedy chcę śląskość forować, popierać, dawać z siebie dla miasteczka, gdy oni tego nie chcą, bo chcą swoją tylko kulturę, zwyczaj, pieśni, język, gwarę - swoją! Moim Heimate zostały Tychy - w sercu, i jak tam jadę - czuję to po sobie - tak jak na pewno Ty, panie W.G.

Tak jak np. do Tychów albo do Gliwic przybyli repatrianci - (nie z ich

tury, nauki w szkole itd. Działania takie są z kolei niemożliwe, jeśli nie ma możliwości zapisu zagrożonego minijęzyka. Kontrargumentując autorka artykułu popełnia błąd logiczny: na przykładzie języka łużyckiego stwierdza, że również „dobrze opisane języki” obumierają, pomimo istnienia kolorowych podręczników, gramatyk i dwujęzycznych tablic. Nikt wszak nie twierdzi, że samo opisanie języka lub jego upiśmiennienie jest wystarczającym warunkiem do jego przetrwania, śmiem jednak twierdzić, że jest to warunek na dłuższą metę niezbędny. (My Ślązacy nie mamy na razie co marzyć ani o takiej „pracy organicznej”, skoro nie wiemy, jak zapisać podręczniki do gwary/języka śląskiej, aby mogły być używane na całym Górnym Śląsku lub choćby jego części). Błąd merytoryczny pani Tambor polega na tym, że język górnołużycki trwa nadal i jest w kilku parafiach bardzo żywy, o czym miałem okazję się przekonać. Los języka dolnołużyckiego natomiast, który faktycznie jest na wymarciu (5.000 Dolnołużyczan, średnia wieku: ponad 60 lat), został w dużej mierze rozstrzygnięty w czasach nazizmu, a wówczas nie było ani książek, ani szkół, gdzie językiem wykładowym byłby łużycki. Mimo złej kondycji języka łużyckiego trudno zaprzeczyć, że piśmiennictwo łużyckie oraz „kolorowe” podręczniki, o których nie bez sarkazmu wspomina p. Tambor, znacznie opóźniły proces wymierania tej mowy.

Przechodzę do najważniejszej części mojego listu: cech dialektalnych Górnego Śląska, które wg autorki nie upoważniają do uznania gwar śląskich za osobny język. Autorka zwraca uwagę na znikomą liczbę „pozytywnych” śląskich cech dialektalnych. Przedstawia ona wyczerpujący przegląd cech dialektalnych, które Śląsk dzieli z innymi terenami polskiego obszaru językowego.

Wszystkie dane autorka podała rzetelnie, według mnie wyciągnęła z nich jednak zupełnie błędne wnioski. Żaden poważny lingwista nie wątpi w polskość dialektu śląskiego i jego ścisłe związki z polskimi dialektami ościennymi. Stawiam mimo to pytanie: czy cecha śląska, którą nasze gwary dzielą z innymi polskimi gwarami nie zasługuje na to, żeby móc zostać osobno zapisaną? Czy pani Tambor odmawia racji bytu kaszubskiemu „ô”, będącego tam kontynuantem staropolskiego (lub raczej lechickiego) długiego „a”, tylko dlatego, że głoska ta występuje również w „ładowych” gwarach Polski? Czy w końcu fakt, że śląszczyzna to *najbardziej polska z polskich gwar*, może być wykorzystywany do tego, żeby odmówić prawa do zapisania naszej mowy? Co z tego, że np. *podź sã* jest etymologicznie być może tak samo polskie, jak *chodź tutaj*, skoro standardowy Polak mówi właśnie *chodź tutaj*, a *podź sã* brzmi mu dziwnie. Czy grzechem jest „umówienie się” na unormowany zapis *podź sã* lub *podź sam*, dopuszczając oba typy wymowy? Karzące kazania z podniesionym palcem o polskości gwary śląskiej w powyższym kontekście powinny być raczej zaadresowane do Nie-Ślązaków, aby ci widzieli w nas swoich a naszą mowę uznali za **pełnowartościowy wariant** swojego języka. Tylko to pomoże wzrostowi prestiżu i żywotności naszej mowy. Autorka pomyliła po prostu adresatów...

Podobieństwa z dialektami ościennymi mają znaczenie tylko dla lingwistów. Przy próbach ratowania gwary śląskiej przed wyginięciem nie odgrywają one żadnej roli, bo to nie gwara małopolska lub wielkopolska ekspanduje na tereny śląskie. Chodzi tu tylko i wyłącznie o kontrast gwary śląska - język ogólnopolski, gdyż ten ostatni wypiera gwarę, która jest odczuwana jako inna. I to wystarczy, żeby umotywować wszelkie próby rewitalizacji gwar śląskich - obojętnie czy określmy je mianem języka, czy gwary... Dlaczego zresztą Ślązak nie może z dumą o sobie powiedzieć, że posługuje się językiem śląskim? Dlaczego może Bawarczyk, mieszkający w „Freistaat Bayern”, mówić o swojej mowie „bayerische Sprache”, bez narażania się na reprymendy dotowanych przez państwo gazet, mimo że każdy wie, iż chodzi tu o dialekt niemiecki a nie o osobny język w sensie *stricto*.

Protestuję przeciwko określaniu prób „kodyfikacji” jako sztucznych. Mowa śląska jest realna - mimo swej różnorodności, dlatego więc jej zapis miałby być sztuczny. Sztuczne jest wymaganie od śląskich dzieci, żeby mówiły „czysto po polsku”. Sztuczne jest nadawanie Śląskowi nowego językowego oblicza, co się praktykuje na Śląsku od dziesięcioleci. Wyjątkowo przychyliam się do wypowiedzi autorki, że dość spora różnorodność gwar śląskich jest bogactwem. Mija się zatem z celem tworzenie normy wąskiej, gdzie arbitralnie cechy np. opolskie zostałyby uznane za „słuszne”. Można jednak stworzyć normę dosyć szeroką, która dopuszczałaby śląską różnorodność, tak jak to jest u Kaszubów, których mowa

winy) to przybyli do ich nowej - małej ojczyzny w Tychach lub Gliwicach - tu walczą od początku o prace, pieniądze, o utraconą ziemię, by dostać za to nową ziemię - o stosunki z ludźmi - tu zaciągają po lwowsku, nie znają naszych „Szła dziewczeczka do laseczka”, „Poszła Karolinka do Gogolina” itd.

Oni „walczą”, bo stracili Heimat, ale tu to słowo działa na nich jak płachta na byka, i przypomina nie ich ojcowiznę a hitlerizm, obozy, śmierć, sabotaże itd. Dla nich jest to, jak dla ciebie w Berlinie panie W.G. - „mała ojczyzna” - wg pani prof. Doroty Simonides, teraz Górnoślązaczki z Opola, ale urodzona w dzielnicy koło Szopienic - w jej domowinie albo heimacie, - zaś Opole jest dla niej teraz małą ojczyzną. Miejsce jej urodzenia, z familokami ma chyba jeszcze w sercu, myśli, mam nadzieję, o jej heimacie albo domowinie wg jej skrytego, osobistego upodobania.

Pani prof Dorota Simonides - chciała się przypodobać komunistom - podając definicję - ziemi gdzie się tęskni, za którą ciągnie od dziecka, młodzieńcze lata, miłości, krewni, znajomi, koledzy! Ale to jest stara definicja heimatu, czyli domowiny, gdzie żyje się bez politykowania, spokojnie, bezpiecznie, od pokoleń w starym otoczeniu, od dziecka. Tu nie psuje wyrażenie małej ojczyzny.

Z Polski przybyli ludzie na Śląsk - nie znali pojęcia heimatu, ani też małej ojczyzny - stworu powojennego z czasów socjalistycznych, gdzie chciano „wprowadzać” od nowa nową kulturę, tradycje, zwyczaje, język.

W Polsce mieli właściwie tylko „OJCZYZNĘ” - bo w Polsce mieli wszyscy jeden cel - Polskę wyzwalając spod albo jednego, albo drugiego, albo trzeciego jarzma!! - Była ojczyzną, za jaką musieli i chcieli walczyć - co jest oczywiste. Mieli zagrody, hazijajstwa, dworki, zaweczki, pałacyki, ale i lepianki, czy bloki - gdzie mieszkali ojcowie - nie nazywając tego Heimatem ani pokrewną nazwą.

Pojęcie Heimatu wywdzi się ze Śląska, Szwajcarii, Austrii Niemiec, Prus, Bawarii, ale nie z Polski, nawet jako coś pokrewnego - bo w ostatnich 250 lat Polacy mieli jeden cel, ten najważniejszy, wyzwalając się od wroga, którym praktycznie był każdy kolejny sąsiad: Niemiec, Rosjanin. Czech! - Każdy sąsiad w dziejach tego kraju.

Każdy Polak śpiewa, zna pieśń „Na dalekiej Ukrainie...”, itd. - walka, czasy też panowania na Wschodzie itd. - pokazywanie walecznej ojczyzny, nie tej małej - tej wielkiej.

Pojęcie o tej nazwie „małej ojczyzny” nigdzie w świecie nie występuje. Pojawiło się najpierw na Śląsku, ażeby wyrugować na tym terenie słowo „heimat” i dalej rozniosło się na inne tereny „odzyskane”, dalej na całą Polskę. Proponowane wyrażenie „małej ojczyzny” właściwie pasuje dobrze dla przybyszy na dany teren. Dla rdzennych mieszkańców danego rejonu, pojęcie to nie jest odpowiednie, oni mają swoją domowinę albo heimat. Tego tak szczegółowo nie wyjaśniono, pani prof D. Simonides również, narzucając każdemu małą ojczyznę.

Więc heimat - ja mówię jak synonim „DOMOWINA” - oznacza dom z łaciny, ale i po słowiańsku, z ruskiego języka, do którego gwara śląska jest najbardziej podobna - zachowana od 15-u wieków czyli od 1500 lat - bo była dla słowian wspólna mowa, niezrozumiała przez Europę „Zachodnią” - był to język słowian - rosyjski - skąd przyszli - ze Wschodu - rosyjski, kiedyś też wymieszany z arabskim i greckim.

Heimat - czyli domowina albo po śląsku „łojcowizna”, ale raczej gadało się „DOMOWIZNA”!!

Słowo domowizna występuje w gwarze śląskiej - ale jest niewygodne w języku literackim - więc lepiej DOMOWINA. A lokalnie można sobie „łosprowiać ło domowiznie” - w gronie wybitnie śląskim, z grzeczności!!!!

Bo po ślonsku można „fanzolić” w swoim gronie, w pieśniach, na karnawale, w kościele, na nabożeństwie z tym związanym - ale nie ordynarnie, w „świńskich” kawałach, w obelgach...

Więc co z tą małą nieszczęsną ojczyzną - no istnieje - jak to mówi pani prof. Dorota Simonides - autorytet uczelniany w województwie Śląskim i Opolskim. Ale co to znów za nowe nazwy - czemu nie oponuje pan, panie W.G. co to jest Śląsk - jakie ma rozmiary, przynależność mieszkańców, itd. Są to dzwoliłagi polityczne od 1922 roku w Polsce - na Górnym Śląsku. I czy istnieje jeszcze „Górny”? - Opole to „Opolszczyzna” - czyżby już bez tradycji raciborsko-opolskiej dynastii Piastów - wyrzuconych ze Śląska od Władysława Wygnąńca począwszy, jego dzieciach, czyli wspólnych książąt dla Raciborza i Opola, jednego stworu od 1163 roku - nagle osobno - tu proszę oponować, panie młody naukowcu z Berlina. Tym bardziej, że się mówi w tych miesiącach, że spisy ludności na tej ziemi delikatnie mówiąc spisywało się po lini i po bazie - jak pasuje nowemu rządowi - bo znów tworzą nową kulturę i tradycje, i po co im

ludowa chyba jest jeszcze bardziej zróżnicowana wewnątrz niż nasza. Już samo jednolite oznaczanie choćby kontynuantów pochylonego „a” lub „e” byłoby dużym postępem. To nie norma śląska zabija bogactwo śląszczyzny, tylko norma ogólnopolska.

Europejska karta języków regionalnych i mniejszościowych definiuje wyraźnie działania na rzecz zagrożonych języków: wszystkie one mają na celu podniesienie prestiżu danego języka oraz zapewniają mu widoczne miejsce w życiu publicznym regionu, w którym się go używa. Szkoda byłoby, gdyby błogosławieństwa tych działań ominęły G. Śląsk tylko dlatego, że „śląskie” rycerstwo herbu Tambor i Kijonka wojuje o to, **aby mowa Śląska - jako ludowa gwara polska - nie zasługiwała na status języka regionalnego** i musiała wytrzeć, co ma rzekomo być skutkiem „naturalnego trendu” wymierania gwar.

Mnie się marzy „model szwajcarski”, gdzie panuje idealna dysglosja: posługiwanie się gwarą w części niemieckojęzycznej jest wszechobecne, nawet w telewizji i radio, język literacki jest znany, ale ograniczony do sytuacji oficjalnych. Nie rozprzestrzenia się on kosztem mowy regionalnej, która żyje i rozkwita bez wykazywania „naturalnej” tendencji wymierania. Każdego Szwajcara poznamy po „akcencie” nawet, gdy stara się mówić „czysto po niemiecku”. Nikomu to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Każdy wie, że „Schwyzer Düütsch” jest integralną częścią kultury Szwajcarii. Czasopisma, które by toczyły jałowe spory o arcy-niemieckość dialektu szwajcarskiego, byłyby wystawione na pośmiewisko (muszę używać trybu przypuszczającego, bo takich gazet tam po prostu nie ma).

Nie chcę popadać w pesymizm. Mamy konkursy na Ślązaka Roku i inne podobne widowiska, których wartości popularyzacyjnych dla gwary nie sposób przecenić. Obawiam się jednak, że ograniczanie gwary do folkloru, zamykanie jej między *chlywikim a zegródkóm* nie wystarczy. Jestem młodym Ślązakiem, od 12 lat żyję na obczyźnie, w Niemczech. Wieku pana Kijonki ani pani Tambor nie znam. Stwierdzam jedynie, że ich argumenty oraz nastawienie do sprawy są stare jak Polska Ludowa. W sprawach językowych oceniam Państwa wyłącznie „po owocach czynów” tzn. jak się Pańska działalność przysłuży żywotności mowy śląskiej. Stwierdzą jedynie, że obecne realia śląskie wymagają nowych pomysłów i perspektyw na osiągnięcie zamierzonego celu: potrzebujemy pomysłów dotąd niewypróbowanych, kreatywnych, niekonwencjonalnych, atrakcyjnych dla młodzieży a nie spacerków po wydeptanych ścieżkach, które dotąd do celu nie prowadziły. Potrzeba również młodych nie obciążonych ludzi pełnych zapału, którzy są w stanie takie nowe impulsy stworzyć. Czy takie perspektywy zarysowały się w artykule p. Tambor, śmiem powątpiewać...

Pozostaje pytanie o intencję autorki artykułu, która kończy słowami wyrażającymi troskę o bogactwo gwary śląskiej. Dopatrywanie się zagrożenia dla tejeż w zapowiedzi Gorzelika na wstępie artykułu jest tak absurdalne, że właściwie nie wymaga komentarza i świadczy jedynie o tym, jak zawężona jest percepcja rzeczywistości u autorki. W tym momencie, w którym autorka przestaje cytować zasłużonych dla dialektologii polskiej Nitscha, Dejnę i Zarębę, a zaczyna myśleć samodzielnie, schodzi ona na istne manowce, próbując nam wmówić, że wahania pomiędzy *móm a mam, witaj a witej* i szereg innych są ponad stuletnią cechą gwary śląskiej. Bzdura to niesamowita: wahania takie, rzeczywiście mogące występować w mowie jednej i tej samej osoby młodego pokolenia, świadczą jak najbardziej o rozkładzie gwary i zanikaniu form śląskich na korzyść cech polskich. Wmawianie, że to jest właśnie oryginalna gwara śląska, dyskwalifikuje panią Tambor jako dialektologa. Właśnie cytat Matusiaka, przytoczony przez autorkę, świadczy wybitnie o tym, że tak nie jest: „(...) Kto z gwarami ludowymi obeznany, ten wie, że jeżeli jakaś miejscowość mówi: *jedén, tén* (...), to mówi tak zawsze, a nie raz tak, drugi raz inaczej (...)”. Że „Powieściach ludu polskiego na Śląsku” u Malinowskiego - tak rozumiem z kontekstu - występują takie wahania, świadczy jedynie o tym, że Malinowski nie stosował konsekwentnie zapisu fonetycznego lub nie zdecydował się na jeden wariant. Przytoczone przykłady dzisiejszej „śląszczyzny”: *przida tam pod szkole, jo jom widze*, to dowód na rozpad i zanik gwary a nie dowód na jej bogactwo, którego chce bronić p. Tambor. Niezrozumiałe jest wymienienie jednym tchem takiej „różnorodności” z wahlnością cech gwarowych wynikających z położenia obszaru na granicy dwóch dialektalnych typów wymowy. Zapewniam Panią, że usiłowanie „kodyfikacji” gwary - przynajmniej do takiego stopnia, aby można było stworzyć podręczniki do szkół - będą

wieki tradycji, w Polsce robi się wszystko atomowo - do tego są przyzwyczajeni, bojaźliwi, nie wiedzą już komu wierzyć, komu zaufać - pranie z mózgowi robi się dalej, inteligentnie, by nowi przybyli torowali nowe drogi na ich pomniki i dla sławy - by się utrzymali!

Więc mnie jest jedno, jak nazywam miejsce urodzenia, albo Heimat albo... DOMOWINA - wyraz neutralny nie z przysługą dla wschodniaków - jest umotywowany. A wszyscy przybyli do danego regionu - przychodzą do małej o j c z y z n y. Ja też przybyłem, i pan do Berlina też, i z kieleckiego do Tychów też. Ja i pan i gorole w naszych heimatach - my razem jesteśmy gorolami, ja i pan. Wspólna nazwa, nie lokalna, prywatna, i od urodzenia tylko albo Heimat albo Domowina, kto jak woli - dowolność w demokracji gdzie w tym „tygłku narożnikowym” wg Szramka określenie - mogą przewijać się trzy kultury, trzy języki i trzy narody - czeski, polski, niemiecki. Dla nich są te dwa słowa heimat albo domowina, kto jak woli, w demokracji.

A jak pan, panie W.G z Berlina - będzie miał dzieci już w Berlinie - dzieci będą miały swój HEIMAT, a pan dalej tę małą ojczyznę. Tak też w Tychach dla przykładu - repatriant - będzie do śmierci w małej ojczyźnie w Tychach, i tęsknić będzie dalej za domowiną, albo może ją sobie nazywać heimatem na KRESACH - zależy czy czuje Polakiem albo Niemcem - bo tam też było wymieszane - jak w całej POLSCE w dziejach XX-u wieków.

Moja książka, nowa teraz wychodząca - mówi o „krajnie przychodzących i odchodzących” - na przykładzie Augusta Kissa - rzeźbiarza z Paprocana, koło Tychów - teraz dzielnicy Tychów, z próbą wyjaśniania tych przynależności śląskich na tle dziejów tej krainy.

A moja bliska mi znajoma - przybała jak repatrianci, tylko nie z Kresów a z Czechów - i do dzisiaj nie wie kim jest! Od dziecka, (a jest z mojego rocznika, i ma 59 lat) - dalej nie wie, że jest Górnoszlazką. Przybała do Polski ze Śląska czeskiego - na Górny Śląsk z wiarą i nadzieją, że heimat albo domowina przyjmie ich dobrze dobrze. Ojca tak - dyrektor firmy wówczas, a córka od 7-go roku życia - wytykana przez samych Górnoszlazaków - że „Gorolka” (czyli nie z heimat a z małej jej ojczyzny). Jako dziecko nie operowała tymi pojęciami, wiadomo - ale dawano jej poznać, że nie jest stąd, nie hanyska, bo nie mówiła jeszcze dobrze po polsku, a po śląsku dopiero - po czesku potrafiła płynnie - ale bencwałów nie przekonała. Do nich zaliczał się sąsiad, ksiądz, tak ksiądz też piętnujący, patriota polski w tym regionie, czy zamorusany słonczok. A czemu to tak było już w 1951 roku? No bo znaleźli się patrioci Polscy na Śląsku, którzy nienawidzili Czechów i nienawidzą do dzisiaj, jako, że rząd czeski z wojskiem odbił część Zaolzia Polsce dla Czechów - i nienawiść trwa czesko - polska do dzisiaj. I to są osoby piastujące wysokie stanowiska w dużych gazetach czy instytucjach, robiących pranie mózgu stale na Śląsku. I znów konflikty, gdzie się coś ruszy w tej tu krainie - to cuchnie z nienawiści, zemsty, odrzegnania, podrzegania, zazdrości, nie tolerancji, .. ogólnie z niewiedzy wielu, wielu tu żyjących!. Tych co tu przybyli do „krajnie przychodzących i odchodzących” bo było tu lepiej niż w Kielckim, Białostockim, i Kresach na wsi. Z zemsty, że niemieckie nazwisko - wał pomnik Friedricha con Reden, i to dwa razy - człowieka, który ich ojcom, tu przybyłym przed 100 laty, dawał pracę. Z niewiedzy, zacofania, z nienawiści przez to i kręci się w Polsce w koło „Macieja” - jak to Polacy mówią i do tego są przyzwyczajeni. Nie dajmy się wodzić za kimś, bądźmy sobą, w swojej tradycji, a przybasz niech uczy się tu tej tradycji i kultury - bo tu przyszedł na Śląsk. Zobaczymy jak Polak przyjdzie do Europy do innych i też zacznie szabelką „za waszą i naszą wolność” walczyć - czy mu się uda jak na Śląsku to się udawało. Udawało się mając za plecami komunistów, czekających na te antagonizmy, by wnieść w ten sposób „nową kulturę” na „tępy teren” - ucząc nas języka, nas, gdy mamy lepszy od nich w gwarze, pra stary słowiański, i pra stary indo-europejski.

Konflikty będą zawsze - które trzeba łagodzić i likwidować - chcąc iść dalej w świat - do Europy.

A ja osobiście - polecam w „Slonsk” lub „EchoSlonska” moje artykuły: o heimacie, domowinie, małej ojczyźnie, o Plessii, o pieśniach karnawałowych, bożonarodzeniowych, kliknąć tylko moje nazwisko w „suchmaszynie” w www.Slonsk.com gdzie znajdziecie w sumie ponad 40 stron na ten temat - polecam.

Peter Karl Szczepanek

Eisenstädter Str. 6, 40789 Monheim am Rhein
eMail: szczepanek@gmx.de

prowadzone nadal. Postulat *zachowania różnorodności* będzie ważną wytyczną w tym przedsięwzięciu. Ponieważ na poparcie ze strony „Ślązaków pełnoetatowych” opłacanych za pieniądze podatników nie ma co liczyć, nie powinna Pani się dziwić i z nutą zawiści rejestrować, że inicjatywę przejmują inni: RAŚ, osoby prywatne, być może Ślązacy z Niemiec, czy ktokolwiek inny, kto działa z pobudek ideowych. Moralnie nie jest Pani upoważniona do pokrzyżowania takich planów, jeśli neguje Pani - tudzież nie dostrzega - potrzeby takich działań i nie wskaże Pani alternatyw.

Ja również pozwolę sobie zacytować Karola Dejnę (K. Dejna, *Atlas polskich innowacji dialektalnych*, str. 10; PWN Warszawa 1994): „[Nastąpiło](...) znaczne zaktywizowanie się ostatnio procesu zanikania gwar, wypieranych przez język ogólnopolski. Coraz intensywniejsze, bo wspierane przez powszechne i wieloletnie nauczanie młodzieży oraz przez potężny aparat upowszechniania kultury, zastępowanie gwar przez język ogólnonarodowy nakłada na (...) językoznawców odpowiedzialny obowiązek wykonania wielu jeszcze badań terenowych (...). **Przy obecnym bowiem tempie zanikania gwar dialektograf za kilkadziesiąt lat niewiele chyba odrębności gwarowych będzie mógł spotkać w terenie** (podkreślenie moje)”.

Owszem, można jak p. Tambor wychodzić z założenia, że taka jest naturalna kolej rzeczy. Mieszanie takiego przeświadczenia z „realną, prawdziwą śląską tożsamością”, do której p. Tambor uzurpuje sobie wyłączne prawo, odrzucam stanowczo. Grzebać śląszczyznę będziemy dopiero wtedy, gdy ona zemrze - być może na obchodach 130 rocznicy powrotu Górnego Śląska do Macierzy lub przy podobnej okazji. Póki śląszczyzna nie zginęła, nie będziemy szczeni sił, aby utrzymać ją przy życiu (użyję 1. osoby liczby mnogiej, bo jestem przekonany, że spora część moich ziomków się pod tym podpisze). Cmentarnych *kopidolów*, którzy wykopują groby przed śmiercią potencjalnego nieboszczyka, Górny Śląsk nie potrzebuje. Bo chyba nie wierzy p. Tambor w naturalną żywotność naszej mowy, która oprze się naporowi polszczyzny standardowej *od samości*?

Reasumując stwierdzam, że takie **niedelikatne** potraktowanie poważnego tematu przez autorkę jest na wskroś antyśląskie, co rzuca cień na linię ideową całego czasopisma „Śląsk”, o której nie chcę się jednak wypowiadać, bo „Śląsk” czytam rzadko, jako że nie w sposób uzyskać w internecie informacji o możliwości prenumeraty do Niemiec.

Miło by mi było, gdyby list ten ukazał się na łamach „Śląska”. Ponieważ nie chcę ryzykować, że wylądaje on jedynie w koszu na śmieci, stosuję formę otwartą, licząc na to, że ożywi to dyskusję o przyszłości naszej mowy...

Z poważaniem

Grzegorz Wieczorek

P.S.: Do listu załączam ogłoszenie konkursu „**wielojęzyczna gmina**” (**pacz str. 29**) we Fryzji Północnej. Proszę sobie poczytać i zwrócić uwagę na zakres używania słowa „Sprache” nawet w odniesieniu do gwar południowo-duńskich. Proszę również zwrócić uwagę na fakt, iż konkurs taki organizuje państwowy (!!!), nie mniej jednak niezależny Instytut Fryzyski... (Cóż za różnica w porównaniu z jego „śląskim” odpowiednikiem?). Może redaktor Kijonka odkryje nowe pole działania dla swojego czasopisma...

(Adres do wiadomości redakcji)

Adres internetowy:

gregor.wieczorek@t-online.de



Silesia Superior

GÓRNY ŚLĄSK - OBERSCHLESIE

ŚLĄSKI PERIODYK INTERNETOWY, INFORMUJE O ŚLĄSKU,
JEGO HISTORII, AKTUALNYCH PROBLEMACH I POTENCJAŁACH
DALSZEGO ROZWOJU TEGO WAŻNEGO REGIONU EUROPY

www.SilesiaSuperior.com

WRAŻENIA II

Na przełomie czerwca i lipca bawiłem w mej kolebce. Jej asymetryczne krawędzie przebiegają na linii Opole, Popielów, Pokój, Kluczbork, Olesno, Ozimek, Opole.

Wysiadając z sindbadowskiego autokaru na dworcu głównym w Opolu, udałem się ulicą Krakowską w stronę rynku, aby po kilkunastogodzinnej podróży zjeść w „Starówce” ciepłą zupę i pierogi z kapustą. Padało.

Na skos naprzeciwko byłej restauracji „Europa”, której pomieszczenia zajmują obecnie niejaki „Donald”, pod ową hożą kamienną dziewczką na agresywnym byczku [1], odbywała się jakaś tam demonstracja. W oczy wpadły mi liczne transparenty z napisem „SLASK ZAWSZE POLSKI”. Uderzyło mnie, iż nie byłem w stanie pojąć jego sensu - chociaż, biorąc pod uwagę takie przesłanki jak iloraz inteligencji czy stopień znajomości polskiej mowy, powinienem. No bo co oznacza: „Słask zawsze polski”? (Nie brakuje w tym zdaniu przypadkiem orzeczenia?)

Gdyby napis głosił: „Słask jest polski”, byłby on w swym politycznym znaczeniu trzeźwym stwierdzeniem niepodważalnego faktu. Gdyby natomiast napisano: „Słask był zawsze polski” skłaniało by to każdego wtajemniczonego w arkana historii osobnika do wniosku, iż wykonał go albo ignorant, albo kłamca; słusznie oburzaliby się Celtowie jako główni nosiciele kultury, która przez dwa wieki obejmowała swym zasięgiem także Górny Słask. W przypadku, gdyby zdanie na transparencie brzmiało: „Słask pozostanie polski po wsze czasy” nasuwałoby się pytanie, jakie - najprawdopodobniej z innej strony starannie w sercach maluczkich podsypane - treści chce się nim spotęgować. Przecież jak świat długi i szeroki nie widać na nim nikogo, kto chciałby Słask Polsce odebrać. Ale: „Słask zawsze polski”?

Mego pierwszego wrażenia, iż napis ten wykonali trutnie dla trutni (bo przecież nie oszołomy dla oszołomionych?!) nie zdołałem także po głębszym namyśle wykluczyć. Rozbawiony tym wnioskiem straciłem zainteresowanie dalszym przebiegiem owej niepotrzebnej demonstracji i podążyłem dalej w kierunku „Starówki”. Zarówno ogórkowa jak i pierogi były pyszne.

Dwa następne dni spędziłem w bibliotece Instytutu Śląskiego. Zołądek mi się przewracał od wszystkich tych bzdur, jakie stworzono o mej rodzinnej krainie i jej najstarszych mieszkańcach zarówno w okresie komunistycznego bałwochwalstwa jak i w ostatnim dwunastoleciu; to właśnie ton jak najnowszej publikacji wywołał mój największy niesmak.

Otóż w drugim dniu mej wizyty w Instytucie, już na odchodnym, sięgnąłem po aktualny numer miesięcznika „Słask”. Tak się złożyło, że otworzyłem

czasopismo na stronie z listami czytelników. W jednym z nich niejaki pan Henryk Myca dał upust swemu rozgoryczeniu, które to zostało mu zgotowane przez Polskę, wąpiąc jednocześnie w opublikowanie swego pisma na łamach „Słaska”. W swej naiwności nie liczył pocziwina z tym, iż pan Tadeusz Kijonka, naczelny „Słaska”, opublikuje wszystko, co może jakkolwiek wykorzystać do demonstracji oraz umocnienia swych stronicznych poglądów co do Śląska i Ślązaków, zarówno tych rozgoryczonych jak i tych o niepolskiej świadomości narodowej. Riposta pana Tadeusza Kijonki na list pana Henryka Mycy zajmowała mniej więcej pół strony.

Po jej pierwszym przeczytaniu zaskoczyło mnie mile oświadczenie pana

Tadeusza Kijonki, iż jego adwersarz ma uzasadnione powody czuć się pokrzywdzonym - ale przerażilo, iż pan Kijonka podpisuje się bez zastrzeżeń pod „Prawdą piątą Polaków”, - która to, jak i wszystkie pozostałe cztery „Prawdy”, była wprawdzie manifestacją zagrożonej tożsamości w nieprzyjaznym Polakom otoczeniu, ale i płodem podówczas prawie że wszechobecnego, a jako - tak jest! - cnota odczuwanego szowinizmu, - stawiając ją tym samym ponad dekalog, Kazanie na Górze oraz hasła Rewolucji Francuskiej.

Jej powtórna lektura uwidoczniła mi całkowicie ton i istotę tego rodzaju publikacji, w których to towarzyszą panu Tadeuszowi Kijonce między innymi pan profesor Franciszek Antoni Marek, pani doktor Danuta Berlińska, oraz - last but not least - pani profesor Dorota Simonides, senator RP. Ton ów cechują następujące „Prawdy”:

Polsko czujący Ślązacy stoją moralnie wyżej od Ślązaków niepolskiej świadomości narodowej.

Prawy bojownik o takąż Polskość śle ukłon Niemcowi „etnicznemu” jeszcze w całkowicie pokpiętej sytuacji; Niemca natomiast, którego niemieckość wynika nie tyle z krwi (barbarzyńskie podejście do sprawy) ile ze świadomości (duchowe, postępowe, „wyższe” podejście do sprawy) stara się przy każdej okazji upokorzyć.

Przekonanie, iż mogą Polacy ogromem niemieckich barbarzyństw usprawiedliwiać w nieskończoność „małe” polskie barbarzyństwa. Każdą polską niegodziwość usprawiedliwiają pan Kijonka i Co. słowami: „...bo Niemcy zaczęli”, przeocząc przy tym drobniaczko fakt, iż teza ta, pomyślana konsekwentnie do końca, kończyłaby się półzdaniem: „... bo Kain zaczął”.

Niemożność zaakceptowania przyczyn, które - po wcieleniu do Rzeszy przez nią w wyniku Plebiscytu utraconej części Górnego Śląska - skłoniły 95% jego ludności do chęci podpisania Volkslisty i to już na przełomie lat 1939/1940. W obliczu tego faktu staje się oczywiste, iż to nie „Kozdnie[2]” zaganiali Górnos Ślązaków do podpisania Volkslisty.

Niemożność zastanowienia się nad tym, co to znaczy być Niemcem po 1945 roku.

W obliczu owych pięciu „Prawd” zrezygnowałem póki co z dalszych odwiedzin w bibliotece Instytutu Śląskiego, aby także w pozostałych dniach mego pobytu w kolebce móc nadal rozkoszować się polską kuchnią.

Parę następnych wieczorów spędziłem nad lekturą książki z serii „A to Polska właśnie”, autorstwa Marka Zybury, zatytułowaną „Niemcy w Polsce”, a podarowaną mi w dzień mego przybycia do kolebki przez pewnego pana, z którym jesteśmy sobie bliscy.

Było balsamem na moje typowo niemieckie rany, czytać w przez Polaka napisanej książce o istnieniu niemieckiego ruchu oporu w czasie tak kalekim, jak lata II wojny światowej, o wkładzie niemieckich przybyszów zarówno w polską państwowość jak i polską gospodarke, kulturę i sztukę, o wartości takich legend jak bitwa na Psim Polu, o tym, iż nie zatracili swego czasu bez wyjątku wszyscy Niemcy ich człowieczeństwa tylko dlatego, ponieważ byli Niemcami.

Wzmocnił pan Marek Zyburą bardzo moją nadzieję w możliwość nieskomplikowanego, wolnego, żadnym cieniem nie zasłoniętego obcowania pomiędzy Polakami i Niemcami.

Pomniejszymi wrażeniami - jak wycinką starych dębów, lip, kasztanów, bez zastąpienia ich sadzonkami, pisaniem pierdoł w prasie poprzez skądinąd atrakcyjne dziewczęta oraz mogących oddać baśniowych oficerów młodzieńców, którzy mają co prawda zawód, ale nie mają pojęcia, a których to przede wszystkim oburza wizerunek krzyża maltańskiego (ale bynajmniej nie na groszu praskim) oraz zasłyszany pod opolskim „Realem” epitetami w rodzaju „Tubylec pierdołony!” - z mego ostatniego pobytu w kolebce nie zamierzam Cię, Drogi Czytelniku, zanudzać.

I tak to, po siedemnastu dniach pobytu, powracałem z mieszanymi uczuciami z mej kolebki do mojego domu, którego - również asymetryczne - podwaliny przebiegają na linii Akwizgran, Kleve, Essen, Bonn, Monchau, Akwizgran.

Alfred Bartylla - Blanke

[1] Autor ma na uwadze opolski pomnik poświęcony Bojownikom o Polskość Śląska Opolskiego.

[2] Józef Kozdoń, burmistrz czeskiego Cieszyna, był przeciwny zajęciu Górnego Śląska przez Polskę.

RAŚ W WYBORACH SAMORZĄDOWYCH 2002

To będzie największa kampania w historii Ruchu Autonomii Śląska. Liczymy na dobry wynik. 4 lata temu startowaliśmy w wyborach samorządowych sondażowo, w jednej trzeciej ówczesnych okręgów. Mimo zerowych nakładów, uzyskaliśmy wyniki napawające optymizmem. Minęły już czasy demonizowania RAŚ, a upartyjnienie samorządów i życia publicznego dość już dało się społeczeństwu we znaki.

Jerzy Gorzelik, rzecznik RAŚ (PAP)
POLITYKA - onet.pl, 2002-08-30

RAŚ WYSTARTUJE W WYBORACH SAMORZĄDOWYCH

Zarząd Ruchu Autonomii Śląska (RAŚ) zdecydował o powołaniu komitetu wyborczego, który wystawi kandydatów w wyborach do władz samorządowych wszystkich szczebli w województwach śląskim i opolskim. Władze Ruchu deklarują, że listy komitetu są otwarte dla reprezentantów ugrupowań o charakterze regionalnym lub lokalnym. Na listach RAŚ znajdują się m.in. przedstawiciele Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców oraz Związku Górnośląskiego.

"To będzie największa kampania w historii RAŚ. Liczymy na dobry wynik. 4 lata temu startowaliśmy w wyborach samorządowych sondażowo, w jednej trzeciej ówczesnych okręgów. Mimo zerowych nakładów, uzyskaliśmy wyniki napawające optymizmem. Minęły już czasy demonizowania RAŚ, a upartyjnienie samorządów i życia publicznego dość już dało się społeczeństwu we znaki" - powiedział podczas czwartkowej konferencji prasowej w Katowicach rzecznik RAŚ Jerzy Gorzelik.

Jako priorytetowe RAŚ traktuje wybory do sejmików wojewódzkich. Wicprzewodniczący Ruchu **Jerzy Bogacki** kandyduje do sejmiku z okręgu chorzowskiego, **Jerzy Gorzelik** - z katowickiego, a z gliwickiego - kierownik biura spraw zagranicznych RAŚ **Bartłomiej Świderek**. W województwie opolskim liderem komitetu jest **Hubert Beier**, działacz mniejszości niemieckiej.

"Sejmiki wojewódzkie mają mniejszy zakres kompetencji, niż np. władze miasta, ale konsekwentnie realizujemy nasz program i uważamy, że sejmik jest znakomitą trybuną, z której można propagować autonomię regionalną" - mówił Gorzelik.

Ruch nie podjął jeszcze decyzji co do kandydatur na prezydentów dużych miast w regionie. W Katowicach RAŚ nie wyklucza poparcia kandydata Platformy Obywatelskiej Andrzeja Sośnierza, ale rozważa też wystawienie własnego kandydata. Swoich kandydatów wystawi może w Rudzie Śląskiej, Rybniku i Zabrze. O stanowisko burmistrza Czerwionki - Leszczyn będzie się ubiegał przewodniczący RAŚ, obecny członek zarządu

gminy i miasta **Krzysztof Klucznik**.

W powiecie tarnogórskim RAŚ, Związek Górnośląski i Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców powołały wspólny Komitet Wyborczy "Przymierze Śląskie", zaś w Rybniku współtworzą Porozumienie Ponad Podziałami "Ziemia Rybnicka". (...)

Polska Agencja Prasowa, 30.08.2002

APEL Ruchu Autonomii Śląska

Wszystkich naszych sympatyków prosimy o wsparcie finansowe Komitetu Wyborczego Ruchu Autonomii Śląska. Komitet wyborczy może przyjmować środki finansowe jedynie od osób fizycznych (nie od firm!), będących obywatelami polskimi poprzez wpłatę na konto bankowe, przelewem lub kartą płatniczą.

Będziemy wdzięczni za każdą, nawet najdrobniejszą wpłatę. Dzięki Państwa hojności będziemy mogli przeprowadzić lepszą, a przez to bardziej skuteczną kampanię wyborczą. Prosimy dokonywać wpłat na poniższe konto:

Komitet Wyborczy Ruchu Autonomii Śląska

Big Bank SA, numer konta: 42-11602202-0000 0000 3108 3795

wypisując blankiet wpłaty lub przelewu prosimy nie wpisywać kresek ani odstępów. Zostały one umieszczone tutaj dla poprawy czytelności.

Maksymalna suma wpłat od jednej osoby nie może przekraczać 11400 złotych. Wpłaty dokonane niezgodnie z przepisami ordynacji wyborczej ulegają przypadkowi na rzecz skarbu Państwa. Jeśli nie spełniamy Państwo warunków umożliwiających wpłatę na konto Komitetu Wyborczego, a chcielibyście wspomóc naszą działalność na rzecz Śląska, prosimy o dokonanie wpłaty na . Nie będziemy mogli z tych pieniędzy skorzystać podczas kampanii wyborczej, ale przecież kampania wyborcza się skończy, a my dalej będziemy prowadzić działalność na rzecz Śląska i wasz dar z pewnością nam w tym pomoże.

Wszystkim, którzy zechcą wspomóc wspólną sprawę z góry badzo **serdecznie DZIĘKUJEMY!**

ze stron www.RASlaska.org

VERTREIBUNG IST EIN VERBRECHEN

DER SPD-POLITIKER PETER GLOTZ KÄMPFT FÜR DAS ZENTRUM GEGEN VERTREIBUNG

Welt am Sonntag: *Herr Glotz, Sie sind Vertriebener, aber auch Sozialdemokrat, der sich jahrelang von den Vertriebenenverbänden wegen der Ostpolitik Brandts beschimpfen lassen musste. Wie können Sie heute Seite an Seite mit der Präsidentin des Bundes der Vertriebenen und CDU-Politikerin Erika Steinbach für das Zentrum gegen Vertreibung kämpfen?*

Peter Glotz: Es hat bei mir eine Entwicklung gegeben: Als junger Mann habe ich einen Identitätsverlust gehabt, ich habe - aus Böhmen nach Bayern vertrieben - versucht, mich an die Bayern anzupassen. Ich habe auch sprachlich den Versuch gemacht, so zu tun, als wäre ich in Fürstentfeldbruck geboren. Das hat sich im Laufe der Jahrzehnte geändert: Ich habe mich mehr und mehr für die Geschichte meiner Familie und meiner Volksgruppe interessiert.

WamS: *Warum soll 60 Jahre nach den Vertreibungen ein Zentrum gegen Vertreibung gebaut werden?*

Glotz: Vertreibung ist ein hochaktuelles Problem - ein Verbrechen gegen die Menschlichkeit, das täglich stattfindet, beispielsweise auf dem Balkan. Dieses Thema müssen in Deutschland alle diskutieren. Dabei müssen selbstverständlich auch die Verbrechen gegen die Deutschen in den Jahren nach 1945 thematisiert werden. Es geht aber nicht nur um die Vertreibung von Deutschen, sondern um das Phänomen der Vertreibung allgemein.

WamS: *Warum kann man erst mit vielen Jahrzehnten Verspätung über deutsche Vertreibungen sprechen?*

Glotz: Die Rechtswende der Vertriebenenverbände, die die Ostpolitik von Willy Brandt bekämpften, führte bei der gesamten Linken und bei der liberalen Öffentlichkeit zu einem vereinfachten und gelegentlich auch korrupten Denkmodell: Hitler hat schreckliche Verbrechen begangen, deswegen waren die Vertreibungen als Antwort gerechtfertigt. Das aber ist falsch. Es war Unrecht, alle Deutsche kollektiv zu vertreiben. Das auszusprechen war zwischen den Jahren 1968 und 1995 fast unmöglich. Man

stempelte sich damit zum Rechten.

WamS: *Was war der größte Fehler der Linken und Liberalen?*

Glotz: Wir haben das Problem nicht ernst genug genommen. Wie ernst es ist, hat sich mit den vielfältigen Vertreibungen erwiesen, zu denen es sowohl auf dem Balkan wie auch im Kaukasus kam. Es ist falsch, das Unrecht der Vertreibung durch irgendwelche Aktionen vorher zu rechtfertigen. Die Vertreibung und Drangsalierung von Serben im Kosovo gerechtfertigt sich nicht dadurch, dass serbische Militärs unter Milosevic vorher hunderttausende von Albanern vertrieben haben.

WamS: *Was sagen Sie zu den Äußerungen des tschechischen Ministerpräsidenten Zeman, der die BenesDekrete, die Grundlage der Vertreibung der Sudetendeutschen, verteidigt?*

Glotz: Das sind ganz abwegige Äußerungen, die die Möglichkeit der tschechischen Republik, der Europäischen Union beizutreten, zuerst einmal verschlechtern haben.

WamS: *Was benötigen Sie noch für eine erfolgreiche Arbeit des Zentrums?*

Glotz: Die Bundesregierung sollte ein Gebäude zur Verfügung stellen. Der Kulturstaaatsminister im Kanzleramt, Julian Nida-Rümelin, hat sich dazu im Prinzip auch bereit erklärt...

WamS: *... Kanzler Schröder hatte eine Beteiligung des Bundes ja eigentlich schon abgelehnt...*

Glotz: Das beruhte wohl auf der negativen Beurteilung des Projektes durch Staatsminister Naumann. Aber der ist ja mittlerweile aus der Politik ausgeschieden. Nida-Rümelin hat das nun korrigiert und der Kanzler ist offen. Das Gespräch führte Jens Krüger

Aus "Welt am Sonntag" vom 31.3.2002

Tekst ten ukazał się 19 października 1995 w tygodniku "KORSO". Publikację poprzedziły 2 wywiady z dr Herbertem Czają, pierwsze w prasie polskiej od zakończenia drugiej wojny światowej. Wywiady te tylko częściowo przedstawiły losy młodego Herberta Czai, któremu wojna -jak wielu innym - przerwała świetnie zapowiadającą się karierę naukową

KROKI KU PRAWDZIE PROPAGANDOWA NAGONKA NA DR. HERBERTA CZAJĘ PREZESA ZWIĄZKU WYSIEDLEŃCÓW

W latach siedemdziesiątych dr Herbert Czają stał się ofiarą komunistycznej propagandy. Powodem „zwierzęcej” nienawiści władz PRL i zaciekłych ataków armii propagandzistów było objęcie przez dr Czaję w 1970 roku stanowiska prezesa Bund der Vertriebenen (Związku Wysiedleńców) oraz jego sprzeciw co do zawarcia układu między Republiką Federalną Niemiec a komunistycznymi władzami w Polsce (z 7 grudnia 1970 roku). Kolejne ataki propagandzistów peerelowskich nasiliły się po 17 maja 1972 roku, kiedy to siedemnastu chadeckich deputowanych, a wśród nich dr Herbert Czają głosowali w Bundestagu przeciwko ratyfikacji układu między Bonn a Warszawą.

W 1975 roku, w czasie uroczystych obchodów trzydziestolecia „Polski Ludowej”, gdy I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek zapewniał społeczeństwo polskie o sukcesach gospodarczych i politycznych PZPR, rozpoczęła się kolejna fala ataków na Herberta Czaję. Na łamach dzienników i tygodników wydawanych pod ścisłą kontrolą komunistycznej cenzury zgodnie z instrukcjami Biura Politycznego KC PZPR ukazała się kolejna seria artykułów szkalującą dobre imię prezesa Bund der Vertriebenen.

12 marca 1975 roku na tamach „Trybuny Ludu”, organu KC PZPR ukazał się artykuł pt „Kim jest - i kim był Herbert Czają” w którym nieznanemu autor (artykuł był podpisany PAP czyli Polska Agencja Prasowa), pisał: „Gdy w latach powojennych dopuszczalna się stała w RFN działalność rewizjonistyczna, gdy okazało się, że można szeroko szermować problemem „wypędzonych”, a zwłaszcza ciągnąć z tego korzyści polityczne i materialne - Herbert Czają znalazł się w szeregu tych przewódców „ziomkowskich”, którzy nie wyrzekli się hitlerowskich poglądów, działając jako jeden z filarów antypolskiej polityki odwetowej”. Podobnej treści artykuły ukazały się wówczas na łamach innych dzienników i tygodników. W ciągu kilkunastu miesięcy 1975 roku propaganda komunistyczna zrobiła z prezesa Bund der Vertriebenen, nazistę, zbrodniarza i „polakożercę”.

Pierwszym, który zasłynął z artykułów szkalujących Herberta Czaję był redaktor Leszek Hajdukiewicz, który jak słusznie zauważył w swoim wywiadzie dr Czaję: „...manipulował według reguły: *Te gwałty były w Krakowie, gdy przybywał w nim Herbert Czaję. Nie mówi wprost, że byłem winowajcą, ale pisze tak aby, czytelnik wyciągnął taką konkluzję, którą sam podpowiada. I sam stawia pytanie czy to nie jest prawdopodobne*”. Hajdukiewicz oskarżył Czaję, że przybył w 1939 roku do Krakowa z listami proskrypcyjnymi polskiej inteligencji skazanej przez okupanta na zagładę, że pracując w urzędzie powiernika Uniwersytetu Krakowskiego niszczył uczelnię, że w dwa tygodnie od jego przybycia władze hitlerowskie dokonały zbrodniczej i bezprzykładowej w dziejach nauki i szkolnictwa podstępnej aresztowania 183 naukowców; „...których Czaję znalazł i słuchał ich wykładów w Collegium Novum w latach 1933-37”. Hajdukiewiczowi nie chciało się sprawdzić, gdzie przybywał Czaję w ostatnich tygodniach przed wybuchem wojny. Nie zwrócono się do profesorów UJ, którzy przeżyli wojnę, a doskonale znali Czaję z studiów na uniwersytecie, nie zapytano ich o Czaję. W tym samym roku na tamach wydawanego w Krakowie „Życia Literackiego”, Zygmunt Bąkowski w artykule „Krakowskie lata Herberta Czai”, powtórzył zarzuty postawione przez Hajdukiewicza. - „...był nauczycielem jakieś szkoły w Mielcu” - nie starając się dokładnie dowiedzieć w jakiej to szkole mieleckiej w latach 1938-1939 mógł uczyć czołowy „polakożerca”. Błądów i sprzeczności we wspomnianym artykule było więcej. Tak jak Hajdukiewicz, Bąkowski nie postarał się dokładnie przejrzeć istniejące w polskich archiwach materiały źródłowe dotyczące Herberta Czai, nie rozmawiał z ludźmi znającymi Czaję z okresu międzywojennego i czasu okupacji.

Zastanawiający jest fakt, że „Trybuna Ludu” często powoływała się na

Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oskarżając Czaję o nazizm, gdy tymczasem komisja ta nigdy publicznie nie wystąpiła do władz RFN z obciążającymi dowodami zbrodniczej działalności Herberta Czai, aby go postawić przed niemieckimi sądem. Wiadomo tylko, że w latach siedemdziesiątych władze PRL próbowały zebrać kompromitujące dokumenty na Herberta Czaję i zaocznie skazać go w Polsce za zbrodnie. Śledztwo zostało szybko zakończone z powodów braku wiarygodnych dowodów przestępstwa.

Zamiast podjąć rzeczową dyskusję z przedstawicielami Związku Wysiedleńców, który był przeciwko ratyfikacji układu RFN - PRL tylko dlatego, że polskie władze komunistyczne nic chciały podjąć tematu kwestii pokrzywdzonych obywateli niemieckich w związku z wysiedleniami ich z Polski w latach 1945-1950. Władze PRL postawiły na propagandę antyniemiecką nazywając przeciwników porozumienia hitlerowcami, faszystami i zbrodniarzami. Jak wspominał Herbiet Czaję w wywiadzie przed tygodniem: *„Proszę sobie wyobrazić, że nuwct rodzinę sławnego przeciwnika Hitlera, dr Paula, byłego wicemarszałka Sejmu Śląskiego i kilku niemieckich posłów władze komunistyczne wywoziły na siłę z Katowic „lepszym pociągiem” do Niemiec*”.

7 marca 1975 roku na łamach „Życia Warszawy” stały korespondent w Bonn, niejaki L.D. w artykule zatytułowanym „Partnerzy Herberta Czaji” pisał, że deputowany CSU Herbert Czaję wraz z deputowanym CDU Herbertem Hupką przeszkadza koncepcji normalizacji stosunków między RFN i PRL. Podobnie było z innymi publikacjami. Autorom ich nie chodziło o przedstawienie prawdy historycznej, ale o propagandową nagonkę na człowieka, któremu nic dano możliwości wypowiedzieć się w prasie PRL.

MIELECKI WĄTEK SPRAWY CZAI

Jak wspomina w wywiadzie dr Czaję, pracę w mieleckim gimnazjum zaczął jako nauczyciel języka niemieckiego w 1938 roku tylko dlatego, że nie mógł uczyć na rodzinnym śląsku z powodu ostrej antyniemieckiej polityki ówczesnego wojewody śląskiego dr Michała Grażyńskiego. W Mielcu się znalazł tylko dlatego, że trzeba było z czegoś żyć. Uczył w Mielcu języka niemieckiego przez jeden rok. W mieście nad Wisłoką niewiele zawarł znajomości i przyjaźni, ale te, które udało mu się zawrzeć, trwały latami. Ucząc w Mielcu bardzo zaprzyjaźnił się z polonistą Tadeuszem Zawadzkiem.

Nadal nie wiadomo, kto pierwszy w Mielcu oskarżył dr Herberta Czaję o agenturalną działalność prowadzoną między wrześniem 1938 a czerwcem 1939 roku, o udział w tzw. V Kolumnie oraz propagowanie poglądów hitlerowskich. Nie wiadomo czy była to propagandowa akcja PZPR i jej przybudówek, która padła na podatny grunt, czy nadgorliwość mieleckich historyków, którzy nie szukając źródeł dotyczących Czai, przykleili mu łatkę zbrodniarza i nazisty. Staralem się dotrzeć do źródeł, z których uzyskano informację o zbrodniach Herberta Czai, ale dowiedziałem się jedynie, że o zbrodniach Czai wspominał za życia śp. Wiktor Jaderny, który powoływał się na, opinię starych mieleczan, czyli nie jest to żadne źródło historyczne tylko pomówienia. Na opiniach Jadernego miał swoje publikacje historyczne dotyczące Herberta Czai oprócz śp. dr Mirosław Maciąga, który w 1985 roku w wydanym okolicznościowym sprawozdaniu „80 LAT Gimnazjum i Liceum w Mielcu 1905 - 1985” na stronic 39 pisał:

„W latach poprzedzających wybuch II wojny światowej rejon Mielca, w zązku z budową zakładów przemysłowych COP-u, zaczęli penetrować agenci V Kolumny. Jednym z nich był dr Herbert Czaję, nauczyciel języka niemieckiego w gimnazjum, co doskonale maskowało jego rzeczywistą rolę na tym terenie”. Dalej w tym samym sprawozdaniu Maciąga pisał:

„Przy okazji warto odnotować nazwiska niektórych jego wychowanków z mieleckiego gimnazjum, jak Rudolf Zimmermann, Oskar Jeck czy In-gramm, którzy niebawem nałożyli gestapowskie mundury i dali się poznać okolicznym mieszkańcom jako hitlerowscy oprawcy”. W przypadku Maciagi podobnie jak wcześniej Hajdukiewicz myślenie było następujące: Czaję się zjawiał w Mielcu w okresie budowy COP-u, musiał być więc agentem hitlerowskim. Maciaga nie przedstawił nigdy żadnych wiarygodnych dowodów obciążających Herberta Czaję podobnie jak propagatorzy z „Trybuny Ludu” czy „Życia Literackiego”, nie postarał się dotrzeć do żyjącego wówczas prof. Tadeusza Zawadzkiego, żyjących profesorów UJ, którzy znali Czaję z okresu okupacji i mogli zaświadczyć, że Czaję jak pisał w 1946 roku prof. Adam Kleczkowski: „...pracował dla Polski, narażał się dla Polski, dlatego zarówno on, jak i jego rodzice w Skoczowie zasługują wedle mego najgłębszego przekonania na względy w Państwie Polskim.” Trudno posądzać Maciagę o popieranie propagandy komunistycznej i nagonki na prezesa Związku Wyszędleńców. Maciaga mimo wielkich zasług na polu propagowania historii był powierzchowny w zbieraniu źródeł historycznych (nie tylko w sprawie Czai), nie sprawdził nawet podstawowych informacji, z których wynikało, że zbrodniarz Rudolf Zimmerman nie był nigdy uczniem mieleckiego gimnazjum i nie mógł być uczony przez Czaję. Po publikacjach Maciagi ukazały się inne podobne jak np. artykuł Stanisława Dobosza w II tomie monografii mieleckiej „Studia i materiały z dziejów miasta i regionu” gdzie na stronie 220 pisał on, że Czaję w Czerminie i Sarnowie propagował narodowy socjalizm i niewątpliwie był agentem V Kolumny. Dobosz powoływał się na Maciagę jak również na pracę K. Skowrońskiego „Wysiedlenia ludności polskiej w widłach Wisły i Sanu w latach 1939-1943”.

EPILOG

W 1993 roku pisząc na łamach „Korso” artykuł dotyczący pobytu Herberta Czai w Londynie i jego rozmów z władzami RP na Uchodźstwie powtórzyłem za Maciagą brednie o Herbercie Czai. Ja również wtedy nie postarałem się dotrzeć do źródeł. Dopiero pół roku później udało mi się

znaleść nowe materiały źródłowe czego owocem był kolejny artykuł „Dr Herbert Czaję nazista czy...”, który ukazał się w styczniu 1994 roku również w „Korso”. Dzięki poszukiwaniom udało mi się dotrzeć do samego Herberta Czai, który udzielił wywiadu. W najbliższych miesiącach postaram się przedstawić kolejne materiały źródłowe oczyszczające dobre imię dr Herberta Helmuta Czai. * * *

Z wielką prośbą zwracam się do wszystkich, którzy znali z mieleckiego gimnazjum dr Herberta Czaję o skontaktowanie ze mną za pośrednictwem „Korso”.

JACEK KRZYSZTOF DANIEL Dr Herbert Czaję



DO PANÓW PROFESORÓW MARKA CZAPLIŃSKIEGO I ADOLFA JUZWENKI W SPRAWIE ICH WYPOWIEDZI W „OPINIACH” GAZETY WYBORCZEJ Z DNIA 17 MAJA 2002 ROKU LIST OTWARTY

Przez dziesiątki lat mego własnego, już bez mała pięćdziesiąt lat trwającego życia, był zarówno ton jak i wględy, cechujące wypowiedzi wyżej wspomnianych panów profesorów nie do pomyślenia; z tego to powodu jestem im oraz wszystkim, którzy stworzyli po niemu warunki, niezmiernie wdzięczny.

Istnieją jednak między nami pewne progi, które muszą zostać - jak oświadczenie - przez stronę polską - pokonane.

Oto one:

1. Obydwa panowie twierdzą, iż wypędzenie Niemców na wschód od Odry/Nysy oraz Sudetów to, cytując: „...konsekwencja wojny, zapoczątkowanego poparciem, jakiego udzielili (oni) Hitlerowi” (M. Czaplinski). „(Wypędzeni Niemcy) ponieśli konsekwencje swoich wyborów politycznych i moralnych” (A. Juzwenko).

Z powyższego wynika, iż obydwaj cytowani panowie są zwolennikami odpowiedzialności zbiorowej, którą to tak okrutnie praktykowali między innymi także naziści.

Powątpiewanie w moralność bez wyjątku wszystkich w objętych wysiedleniami terenach zamieszkałych Niemców jest wielce krzywdzące, gdyż Dietrich Bonhöffer na przykład był Wrocławininem (Breslauerem) a James von Moltke siedział na Krzyżowej. Obydwa - jak i niejedyn przeciwny „Anschlussowi” Niemiec Sudecki - zapłacili ich postawy moralne życiem.

(Osobiście czekam przede wszystkim na ów dzień, kiedy to wspaniali Polacy - a mam zaszczyt znać takich także osobiście - przywołają w imię moralności do porządku tych swych rodzimych publicystów, którzy to na koszt polskiego podatnika wypaczają górnośląskie realia. Nie potrzebuję chyba dodawać, iż świadoma służba kłamstwu jest zdradą zarówno na własnej ojczyźnie jak i na własnym narodzie.)

2. „Jeśli Niemcy chcą rewizji oceny wysiedleń, to popełniają błąd.” (A. Juzwenko)

Powojenne wysiedlenia Niemców z terenów uzyskanych przez Polskę, z Sudetów, a także z innych krajów europejskich, były zbrodnią i muszą być jako taka zakwalifikowane. Oto, czego Niemcy chcą - i mają rację, gdyż zbrodnia zbrodni jest równa. Tak samo, jak człowiek człowiekowi.

3. „Musimy pamiętać, kto odpowiada za wysiedlenia. To Niemcy zniszczyli Europę i stworzyli piekło nienawiści.” (A. Juzwenko). „Trzeba o nich (niemieckich wypędzonych) pamiętać i rozmawiać, ale nie wolno zapominać, kto ponosi za to (za wypędzenie) odpowiedzialność.” (M. Czaplinski)

Za zbrodnię odpowiada zawsze i wyłącznie ten, kto je popełnił - w innym przypadku doszlibyśmy do wniosku, iż winnych nie ma, gdyż stało się w przeciągu historii co się stało, bo ... Kain zaczął. Jeżeli pragniemy iść przez życie z podniesionym czołem, nie wolno nam usprawiedliwiać naszej zbrodni zbrodnią naszego bliźniego. Tylko taka postawa moralna pozwala żywić uzasadnioną nadzieję na lepszą przyszłość.

(Być może, iż my, Niemcy, mamy pod tym względem „łatwiej”, gdyż nasze zbrodnie były tak ogromne, iż, aby się pod ich ciężarem nie załamać na zawsze, nie mieliśmy innego wyboru, jak przejście za nie odpowiedzialności.)

Z poważaniem

Alfred Bartylla - Blanke

W aktualnym numerze "Echa Ślonska" zapocznymy drukowani fragmyntow ksionżek Rudolfa Pacioka z serii o Fyrcoku. On tych ksionżek napisoł już siedym. Yno ta szósto, niedowno wydano, idzie kupić w ślonskich ksiyngarniach. Siódmo istnieje na razie yno wirtualnie (poszukej w internecie pod adresym www.skarbiec-slaski.itatis.pl). Te starsze som już praktycznie niedostympne. A jako że fest ciekawe i głyboko zu ślonskiego serca pisane, chcymy ich sam przybliżyć tym wszystkim, kierzi ich jeszcze nie znajom.

Zaczynymy od czynści piyrszej - *Fyrcok za briftryjgra*

O ŚLASKU PO ŚLASKU

Czamu ta opowieść o górniku z Libomi i pjynciu chłopcach z Parceli napisano jest gwarom?

To tak, jak z tymi alpinistami, pytanymi czamu łazicie po górach? Ano, łazymy, bo góry istniejom. Ślonsko gwara też istnieje.

Som góry i je ślonsko mowa. Ni ma jyny naukowo opracowanych reguł pi-sowni, gramatyki... Tego ni ma, i przez to pisa tak, jakbych slyszoł godka Fyrcoka. Fonetycznie. Tak jak on, zależnie od tego, kiery go sluchoł, go-dol: roz - górnik, a kiedy indziej bergmon. Roz - gruba, roz - kopalnia. Roz szola, kiedy indziej winda...

Malo kiery dzisiok wjy, że i polsko i njymiecko mowa na Ślonsku była gwarowo. Njymce majom swój Hochdeutsch, Plattdeutsch. Bajeroeki goda-jom inakszy niż na Zaksach, abo w Hamburgu. Tak samo ślonski njy-miecki byl dlo Bajeroeka niezrozumiały, jak polski na Ślonsku dlo Polokow z cyntrum.

No to co? Je, czy ni ma ślonskiego jynzyka? Som, czy ni ma gór?

Kożdy wjy, że faktycznie jest jedno i drugi. Przez to pisa po ślonsku.

Rudolf Paciok

- MOTTO -

*Ślonszok - to jak "piyrszy w klasie" -
żodyn mu nie pszaje.*

Ale - za Boga sie śnim nie rozstaje.

DYCKI U SIEBIE W DOMA

Na cołkij kuli żyjmskij jest jyny taki jedne miejsce - za stodołom od Cichego z kierego w pogodne wieczory widać pasmo górskich grzbietów ostro odcinajonce żyjmia od nieba.

I też na cołkij kuli żyjmskiej jyny pjynć synków z Parceli w Krziżkowicach spotykało se za tom stodołom.

Tyn niemocniejszy, co se żodnymu nie doł pobić, był naszym wodzym. Nazywoł se Richuś Zielonka. Jorguś Maciuga też nie doł se bele komu pobić i - on był jakby tym drugim ważnym. Trzecim był Chimek Somerla, szczwortym - Maks od Cichego, a joch był na końcu, bo kożdy, kiery chcioł to mógł mnie pobić.

Ale takich, coby chcieli, prawie nie było, bo z Richuśjym, abo Jorguśjym mieli by do czynjynio.

Kożdy kogoś za coś szanowoł. Tych pjyrszych dwóch - za śjyla. Chimka za to, że fariożyczek i jego matka uznali - że jak wyńdzie ze szkoły w Krziżkowicach, to zarokzi pójdzie ae uczyć do gimnazjum w Rybniku, a potym bydzie se dalej uszył na farioża w Krakowie. Przez to mieli my też marka u farioża Pilawy na katelmusku. Maks od Cichego uczył se u Biedronki na Familokach gry na skrzipce. Poza tym umioł ciekawie opowiadać o roztomańtych kompozytorach jak: Schubert, Haydn, Bach, Mozart, Czajkowski, Glinka, Moniuszko, Liszt - a znoł ich ze dwajścia a można i wjynyj.

Na Parceli było kupa dzieci, ale jak kiery był starazy abo młodszy, to se z nami już nie kolegowoł, bo nolezoł do inkazej paczki i kaj indziej se też zbjyrali. Miejsce za stodołom od Cichego było jyny nasze. Przegonić nas ni mioł żodyn prawa, bo Maks zarokzi by ojca zawołoł.

Jo - tyn ostatni - umiołech godać se starszymi i to tak, że se snas nie śmioli. Nawet sztajger Walek. Nie było na Parceli bardziej uczonego, bo za mondrzejszego - chce nie uczonego - to my mieli Fyrcoka z Libomii, co do roboty na kopalni Anna w Pszowie i z roboty - przez Parcela przechodźjył.

Przeważnie wszyjscy somsiedzi robjyli tak samo jak Fyrcok na kopalni Anna w Pszowie; stary Skiba był maszynistom m szybie Jana, Zycha strzyłoł w kamijyniu, Chytrowski był hajerem, Granieczny zwykłym szle-

prym (ładowaczym - jak na takiego czysto po polsku godali. Ale takich, co czysto po polsku godali mieli my jyny w urzyndach, szkołach i tam, kaj se do roboty chodźjyło w biolej koszuli i pod szlipsisym).

Walek był sztajgrym - to prawie mjyndzy zwykłymi górnikami jak gyne-rał uczony, co to wszystko wjy, a nawet jak nic wjy, to my jyny godali, że nic chce powiedzić.

Roz tezech se odwożył i spytołech Walka jak daleko stond może bye do tych gór, co to w pogodny wieczór - a nikiedy nawet w dźjyn - je widać? Wyglondajom jak chrubo kryska, co oddzielo żyjmia od nieba.

Walek natkoł do fajfki tabaki z oselki, z kapsy wyciongnyl fojercojg z łuski od patrony, wykrzesoł z tego fojercojga - na co rychtyk Poloki godali "zapalniczka" wielko flama - na co rychtyk Poloki godali "plomień" - i zakurzył. Dość długo nic nic godoł, ale oczami doł nom znać, że momy poczekać, aż on ta fajfka rozkurzy tak, żeby mu uzaś nic zgasała. - Ja tóż synki - padoł i jeszcze trzi razy pocykoł swoja fajfka - ta ćjymno kryska nad Raciborzym, co leży w dolinie Odry i przez to go nie widać, nazywo se Sudety. A ta drugo ćjymno kryska obróciyl se jakby tańcowoł i poko-woł palcym na trzi ślupy dymu, co wylatawoły z kuminów karwinskiich kopalni - to som Beskidy. W pojszczotku - jak widzicie - ni ma gór. Jest jyny grabowski las, za nim wieś Libomio, co słynie z wyrobu cygor i ta-baki, libomki. Z Libomi widać Odra. Kożdy głupi wjy, że rzyka płynie tam, kaj je niejniej. To se nazywo Brama Morawsko.

Walek - jako tyn niejbardziej na Parceli uczony umioł se pogadać z tymi rychtyk Polokami. Drugim takim, co se też śnimi umioł pogodać, był Fyrcok. My z tej rychtyk polskij godki nie wszyjstwo rozumieli.

Do szkoły jeszcze żodyn snas pjynciu nic chodźjył. Do ochronki też. Chimek był tam dwa razy, bo jego mama chcioła, żeby jeszcze przed szkołom trocha se z rychtyk polskom mowom osluchoł. Na trzeci roz już nie poszoł - a to, co dostoł z domu do zjedzynio, to my za stodołom od Cichego zjedli.

Chimek wołoł posluhać opowieści Walka, abo Fyrcoka, co to dycki, jak szoł ze szychty dudom, to se za stodołom odpoczywoł. Jeszcze roz tela drogi dudom mu zostowoł. Nikiedy też prziszli za ta stodoła inksi som-siedzi, żeby se z Fyrcokym pogodać. On dycki mioł jakiś ciekawe wieści z gruby, z Raciborza kaj były już Njymce, z Warszawy...

Po drugi, to nigdzi na świecie nic było tak fajnie, jak za stodołom od Cichego. Wtedy jeszcze rosły tam wielgachne brzozy, co my śnich mioz-ga ściongali. Do popicio, abo do mycio włosów baby to brały. Sto metrów od stodoły leciała tako szyroko miedza zarosnyto krzokami. To była grana-ica mjyndzy Krziżkowicami a Rzuchowym.

Przez to Chimek nie chcioł chodźić do ochronki kaj Śpyjwali: ta Dorotka, ta malutka, tańcowała dokolotka... Nikiedy z plasteliny lepjyli se taki roz-tomańtości, że jak pani Bronia pytała, co to jest, to - wszyjstwo jedno, co kiery padoł - było prowdom. Wołoł Chimek Fyrcoka, Walka i inkszych somsiadów. My też.

No, to sluchomy dalij Walka o tej Bramie Morawskij, o Odrze, co przez ta brama przeplywo z Czech na strona Njymiec i dalij przez Racibórz, Opo-le, Wrocław aż do morza.

Ludzie! jakiz to bylo ciekawe. Przeca Racibórz my slyszeli; slyszeli my, jak ryczały fabryczne buczki. Kurz od lokomotywy my widzieli, co ci-ongnyla pociong z Berlina do Wiednia. Jak wiater wioł od zachodu - a przeważnie tak wioł - to my slyszeli gwizd lokomotywy i stukot kół po szynach. Bylo slychać, a nie widać.

Przez to sluchali my tych opowieści starszych jak bojek. Wszyjstwo szło-by sprawdzic, ale przeca my jeszcze byli za mali, żeby se wybrać za Kornowac przez las ku granicy na Lukasynie. Z tego miejsca było widać miasto i Odra, a jak strażniki se zagapjyli, to i przez granica szło przelyżć. Szmuglyrze mieli już w tym przelazowaniu przez granica wprawa, że dycki im se udowoł. Wszyjstwo szło sprawdzic, ale kiery by nas puścylj samych dziejynć kilometrów?

Ale, niejbardziej to nas ciekawjyla ta "Brama Morawsko". W rzuchowskim zomku, kaj mjyszkoł pon dworu Moczulski - też je tako pieronowo brama z zelaza. Ale, żeby przez tako brama mogła se przecięć Odra, co po niej szyfy plywajom i roztomańte barki, tego my se nie umieli wyobrazić. Wielaz było z tego powodu medytacji? A to, że chyba ta Brama Morawsko bydzie se sto razy wjynkszo od rzuchowskij, że kłódka jest na pewno wjynkszo od czopki Jorgusia. On mioł niejwjynkszo czopka, bo jyny Jorguś mjyndzy nami mioł zostawione dlugi włosy, zaś my byli sztrziżoni

abo na glaca, abo na grziba.

Ale ojczym Jorgusia był malyrzym artystom. Malował obrazy olejne na zamówiyni i bez. Od chyntnych nie umiał se dać rady. No, i przez to Jorguś miał snas njejwjynkszo czopka. Ale ta kłódka od "morawskiej bramy" musiała być jeszcze wjynkszo, a klucz do njy był na pewno wjynkszy od nogi Richusia.

No i, żeby rzecz o Bramie Morawskiej zakończyć, dostotech od kolegów polecyni, żeby se Walka spytać - jak to rychtyk je? Spytolech. Walek zaczon se śmiec, aż musiał fajfa chycić rynkom, bo by mu wypadła. Musiało to być moi pjyrse głupi pytani, bo nigdy przedtym Walek z moich pytań se nie śmiec. Kiedy już mu tyn śmjych przesoł to pogłoskoł mnie po glacy i padoł tak:

- Na wszystko przijdzie czas. Za rok, abo dwa pójdzecie do szkoły - objon nas wszystkich swoimi oczami, bo se kapnył, że jo pytom w imjyniu wszystkich kolegów. - W szkole se dowejcie, że Brama Morawsko nie je ani z żelaza, ani z drzewa, Brama Morawsko to jyny je tako nazwa jak Sudety, Beskidy, Tatry ...

Górnicy njejwjyncej i niechyntnij opowiadali se o robocie na dole, na wjyrchu i kaj tam kiery robjył. Jakby im mało było tego że se narobjom jak konie, to jeszcze bez końca o robocie mogom godać. Im kiery se bardzjyj narobił tym bardzjyj se tym chwolył. I - tym wjynksze miał u kolegów uznani.

Dzisiok dlo wielu som to bojki i bery, ale dlo Fyrcoka, Walka i naszych ojców robota była njeważniejszo. Przez to i jo był tak wychowany, że jakech do kogoś przisoł i kozali mi se siednyc, toch dycki siodoł na njejtwardzieszy stolek, bo siodani na polstrowane zesle, choć były na miejscu - uznowolech za pycha, grzych, co to z tego trza se potym spowiadac.

Jednego przed drugim było gańba, jak zmarnowoł dźjyn bumelowanym. Dzieci też: dziepjyrko po prziniesjyniu trowy królikom, wypucowaniu ojcowego koła i strzewików, pozamiataniu placu - eli kiery miał własno chalupa - nanieśjyniu drzewa do tromby i wonglo do kolkastli, mogły dziepjyrko se isc za stodoła od Cichego. Już jako te bajtle byli my przekonani, że tak je na całkim świecie, a jeśli kaj je inakszy to jyny może być bardzjyj sztryng i lepszy.

Zyci ludzi kaj indzjyj też nas interesowało. Chcieli my wiedzieć, bo nikiedy jedyn z naszej pjontki coś tam uslyszoł i uzaś musiolech pytać Walka - czy to prowda, że...

Walek se śmiec z naszych pytań, ale nigdy nie wyśmjywoł, ani nie nazywoł nas głupkami, co se zdarzało od inkszych, przez to my njechyntniej pytali Walka co dycki był pod rynką, a jeszcze chyntniej Fyrcoka, ale on posiedzoł snami za stodołom jyny, jak miał na dźjyn. Jak miał na drugo, abo na noc, to jyny pora słów w biegu snami zamjyniyl, kozoł Bogu zapłacić za nasze życzynio szczynśliwej szychty i lecioł ku grubie. Za to, że Walek nom pszoł, to my mu nikiedy koło wypucowali, bo on ni miał synka jyny dwie dziolchy, a pucowani koła to chłopsko robota.

Fyrcoka z Libomi mieli my jednak njebardziej radzi. Od dziecka, jak jyny ze szkoły wyszoł, zaczon robić na Annie w Pszowie. Zrazu na Fridzie, potym na Szternie. Frida i Szterna to były pola wydobywcze na dole. Walek pora razy godoł starszym, a my to słyszeli, że jakby Fyrcok miał szkoły, to mógłby być nawet posłem na Sejm Ślonski. Nie bardzo my wiedzieli, co to znaczy, ale to nom stykło, żeby Fyrcoka zauważyć, jak szoł z szychty dudom, a njejbliżej było mu z Pszowa przez Familoki, Parcela - kole stodoły od Cichego - na grabowski las i jeszcze konsek drogi do Libomi. Na tabuli przy drodze było napisane LUBOMIA, ale wszyscy godali - Libomio. I - Krziżkowice, zamiast, jak było na tabuli, Krzyżkowice, i Sprąžno zamiast Pstrążna. Kożdy wiedzoł, o co chodzi.

Latym to jeszcze szło, ale njejgorszo była dlo Fyrcoka zima. Robjył na trzi zmiany. Jak miał na dźjyn, to pół bjydy. Ale jak miał na drugo, abo na trzecio zmiana, to kole jedynostej w nocy maszerowoł jak palec - som - ku chałupie. Do Parceli to jeszcze miał wesoło, bo były domki, a w oknach nie pogasły światła ale od Parceli ku lesie nie było nic, jyny pola. Ani żywej duszy po drodze.

Przi siebie miał dycki trzi rzeczy. Pieronym synkato kryka po starziku, co jom aż kandyś z Chin prziwiozł. Drugo rzecz to była taszynlampa, co to rychtyk Poloki na to "latarka" godali. A ta trzecio rzecz, to była trombka strażacko. Dostoł jom od ojca strażaka, jak jeszcze konne wozy strażacki były. Mało, chudo trombka, ale głośno jak mało co.

Nikiedy tak pieronowo suło śniegiym, że w dźjyn chłopa na dwajscia metrów nie było widać, choć mógł być po czornymu obleczony. A jak to

jeszcze był śnjyg suchy, to wiaer usuł taki zumjynta, że przelyć nie szło. W mroźne dni to chodźiyl na przimo przez pola, bo były wydmuchowiska i pod nogami miał twado.

Nikiedy, jak my zza stodoły od Cichego zaglondali na Fyrcoka, to nom chłopa było żoł. Starsi też go żalowali, że tak se borok mynczy.

- Przekludź se na Familoki. Bydziesz miał gruba pod nosym - dorodzali mu nikierzy familokorze trocha żartym i trocha z serca.

- Ty se dzistej i być rod, że mosz gruba pod nosym - odpowiało Fyrcok.

- Jo tam wola mieć pod nosym leluje i inksze kwotki abo stromiki z jabkami, krzoki z wieprzówkami, śwjyntojankami...

Nikiedy to se na dole pierońszczok tak narobjył, że jak wyjechol i wloz w warzicie pod ciepło brałza, a potym se na chwila siod. to wyglondało, że zarozki usnie. A jak se oblyk, przeloz przez markownia i znejd se na szosyji, to żodnej frelce nic podarowoł. Jednej padoł, że je gryfno i poszoł by śniom do kopki siana, a inkszo - jak go za taki godani spieronjyla - to ji padoł, żeby nie była tako herno, żodyn karlus ni mo takich rod.

A jak był geltag abo forszus - na co te rychtyk Poloki godajom wyrównanie i zaliczka - to mogła se Fyrcokowa z njelepszym żarcjym na niego w doma czekać. Musioł wlyż z kumplami do Francika na Myto. Francik godali na szynkorza przy kopalni, Myto - godali na skrzyżowani dróg, kaj jedna prowadźjyla do Syryni i i Libomi, a drugo na Krziżkowice przez Familoki i dalij na Rzuchów, kaj też było skrzyżowani z jeszcze wjynkszym szynkiem niż u Fancika, ale za to dalij od kopalnie. Tamto skrzyżowani w Rzuchowie nazywalo se Łapacz, a szynkorzym był Żymelka. Z tego Łapacza drogi rozchodźjyla se na Rybnik i Racibórz, no, i na Wodzisław; ta w leci przez Pszow i Myto.

Mieli górnicy w dni wyplaty kaj zostawiać pinjondze, bo przeca i w Krziżkowicach mieli po drodze wielki wyszynk u Walczoka. Ale u Francika na Mycie dycki było njejwjyncej spragnionych górników, co to w te dwa dni w miesioncu musieli se coś mocniejszego wloć do brzucha.

Baby z Familoków, to w te dwa dni w miesioncu wyciongały swoich chłopów od Francika za kragle. Ale Fyrcoczka po starego na Myto nie przijdzie. Za daleko, a po drugi - must dzieci i gowiedzi wachować. Jak to przy chałupie. Dycki je co robić. Choćby na tym konsku pola za budynkiym i w zegrodzie przy stromikach owocowych

Te baby z Familoków były dlo swoich chłopów pieronym sztryng. Nawet ci - jak Fyrcok - co mieli dudom daleko, abo ci ze Rzuchowa, Kornowaca, Pogrzebjynio, Brzezio, Kobylki, Pstrążnej, też musieli Francikowi płacić i pomału ku chałupie se zbijać. Za to baby ze wsi odpłacały se familokorkom jak jyny mogły. Owocym, jajkami, syrym, masłym, śmietonkom.

Fyrcok po kieliszku rod śpjywoł. Słowa przeważnie wymyśloł som, a melodyjo pożyczoł od znanych kompozytorów. Przeważnie swoimi śpjywkami przeżywoł sztajgrów, abo te baby z Familoków, co to swoim chłopom kropelki wypić by nie dały i jyny by szporowały na te pieroński chałupy, żeby jaknjejrychlej se z tych Familoków wykluździć na swoji.

To było marzyni dorosłych a dzieci też od kołybki tym zarażano. Kożdy chcioł mieć chałupka, bo to idzie se coś uchować: kura, królika, owca; a koza, to była tako podmiejsko krowa. Prawie kożdy chowoł se też swinia. Tak dziepjyrko wele świont Bożego Narodzynio to dostowoł tyn świniok mjyndzy uszy i była uczta, a - przy dobrym szporowaniu - to jeszcze na Wielkanoc zostało.

Oprócz tego w kożdej chałupie był jakiś muzyczny instrumynt: gitara, mandolina, skrzypka, akordeonów też nie brakowało, a nawet - jak u Jorga Skiby - była fishamonia. W kożdej chałupie był też kieryś, co umioł grać. Jak Richuś dwa razy w tydniu pomogoł starszym bratom prziwjyżć z hołdy ryncnym wózkim wongel - co razem z bergami tam se dostoł, a przeważnie bezrobotni, ale i tacy, co mieli swoi domki, tyn wongel z kamjynio wybjyrali; tym z bergów topjyli w piecu, a deputatowy szporedowali - to w tym samym czasie Jorguś pomogoł Abrahamczykowi w jego wielkim i bogatym gospodarstwie, kaj jego rodzice wynajmowali izby, bo też jeszcze swojigo se nie dorobjyli. Tak samo Chimkowi rodzice nie dali marnować czasu i se lynić. On też, zanim dostoł od matki wolne i mog przilecieć za stodoła od Cichego, musioł pjyrwyj przjnyjść z pańskiego kończyny dlo królików, przibić na kolik koza, posypać pszynicy kurom i wrzeszczyć głośno - "cygany idom" jak rychtyk szły, żeby somsziedzi mogli se przigotować, znaczy: spuścić psa z lyńcucha, pozamykać furtki, stanyc se w izbie przy oknie za gardinami, żeby nic było widać, i obserwowac.

Maks od Cichego miał njejwjyncej roboty, bo przy jego chałupie było

ozim juterek pola. Joch miał też niejwjyncyj, ale wolnego czasu. Moi rodzice byli dziepjrko na etapie szporowanio pinjyndzy na wopno, cegła, drzewo i tregry do budowy domu. Ale, nie było bez tego, żebych kierymuś nie pomogół, co prawie miał niejwjyncyj roboty., Za to mogli my se pryndzyj zebrać uzaś za stodołom od Cichego, by - niewiadomo kiery to już roz - pomarzyć o tym, jak też tam je za Raciborzym po niemieckij stronie. Można i tam po robocie zbijrajom se za podobnom stodołom dzieci i wadzom se o to, kierymu se lepszy na tym świecie żyje, czy onym, po niemieckij stronie, czy nom, Polokom?

Ale, tam w górach ni majom wonglo, to i górników też ni majom. A przez to i Fyrcoka in mogom mieć.

Nikierzi godajom, że Fyrcok trzimie z diobłym i przez to nie boji sie po nocach przez las chodzić. A to se wżjyno stond, że kiedyś jego sztajger, Majnusz, wloz do Francika na Mycie przed nocnom zmianom na piwo. Pod szyb miał jeszcze dobre dwie godziny czasu. Był tam też Fyrcok. Aha, trza wom jeszcze wiedzieć, że Fyrcok groł też rod w karty. Przeważnie w szkata. Sztajger też postanowjył zagrać w tego szkata. Jak już tak było wele dziewiontej, to Fyrcok pado: - Panie sztajger, na was już czas. Przeca mocie nocno zmiana. - Sztajger udowół, że nie słyszy i groł dalij. Wele dziesiontej Fyrcok uzaś godo - Panie sztajger, o tym czasie po winniście już być pod szybom, abo w szoli. - Uzaś sztajger milczy i udowo, że nie słyszy. Dziepjrko jak już tak było kole dwanostej w nocy, a karciorze nabrali szwongu, to wtedy Fyrcok uzaś pado - Pon sztajger zrobjył se bumelka, abo je na urlopie i mo nas za błozna.

Wtedy sztajger odłozył karty i pado tak: - Możymy grać do rana. joch już był na dole. Robotach rozdoł. Koždy wjy, co do niego noleży. Idzie dobrze, to ni musza śnimi być przez cołko noc. Gromy dalij.

Żodyn nie broł poważnie tego, co sztajger napaploł, ale ożarty przeca nie był, a błoznować za fest też ni miał rod.

Nad ranym, jak już wszyjscy o Majnuszowym godaniu zapomnieli, prziszło do Francika jedyn z jego brigady po nocnej zmianie. Pieronym se zdziwjył, że sztajger już groł o tym czasie w karty, bo jak on wyjyżdoł, to Majnusz był jeszcze na dole.

- Ni mog być na dole - padół Fyrcok - bo cołko noc gromy w szkata.

- Ni mog grać swami cołko noc w szkata, bo był snami na dole. Dwa razy prziszło. Roz o półjedynostej i drugi roz o półtrzecij.

Majnusz nic nie godoł. Podżjynkowół karciorzom za towrzystwo, ze ści-any ściongoł mantel i czopka - choć na tej ścianie nie było ani gwoździa, ani hoka. Czysto ściana.

Ale tyn djoboł, co se śnim Fyrcok kolegowół, ni mog być tak istraszny. Fyrcokowy "kamrat z rogami" pomogół mu jyny chodzić w nocy po grabowskim lesie. Mało kiery w to wierzył, ale byli tacy, co uwierzyli i Fyrcoka z daleka omijali, a jak już nie szło, to se żegnali. On uzaś przistawioł palce do czoła i straszyl wszyjstkich głupkw, co w diobly wierzyli.

Ale, ale... Przigoda z Majnuszom była prowdom. Żyjom jeszcze ludzie, co jom potwierdzom. Kiery nie wierzy, niech se śpyjcho, be oni majom już po dziewjyńdziesiont pora lot.

Jak kieryś przeszół som przez grabowski las, to mogło być dwie, abo trzy po połedniu, to i tak uznany był za odważnego.

Tak doprowdy, to żodyn dokładnie nie wiedziół, co w tym lesie było i jest takigo straszego? Wszyjcy jyny, godali o jakichś zomczyskach jeszcze z czasow Bolesława Chrobrego. Tam som taki lochy, cołkiym porosnyte mechym. Jakby tak - nie dej Boże - prziszół kiery za blisko, to skielźnie jak na szlyńcuchach prosto do lochów, kaj som gnozda żmiji. Nawet grzibiorze omijali te zomczyska z deleka. Jyny Fyrcok żodnego miejsca w tym lesie se nie boł. On też jedyn wiedziół coś o archeologach z Krakowa i Warszawy, co do grabowskiego lasa przyjechali, a on im pokazowół kaj to som te zomczyska.

Według tego, co se nieskorzjy od tych archeologów dowiedziół, to musiała tam mieć taki dzisiejsze koszary jakoś družyna zbrojnych od Chrobrego. Znejdli tam też dwie osady z czasów mjyndzy VII-VIII wiekym. Dziepjrko se te Piasty w Libomi i Syryni lyngli. Jakby tak zajrzeć na mapa, to Libomio leży w północnej czynści Bramy Morawskij. Wiślany z Państwem Morawskim o te zjymie se bjyli.

Jak w 1937 roku te geologi po grabowskim lesie szklodzjyły, to Fyrcok pora razy ich tam odwyjdzjył. Żodyn - ani z Syryni, ani z Libomi - nie był taki śmiały jak on. A po drugi, to Fyrcok umioł se z tymi rychtyk Polokami niejlepszy pogodać, bo niby my też po polsku godali i godomy, ale te prawdziwe Poloki z Czynstochowy, abo z Krakowa nie umiom se snami porozumieć, a my uzaś śnimi. Fyrcok umioł tak te słowa godać na "e". Po naszymu godomy: chca, moga, pójda; libomiki godajom: chcám, pójdam; zaś te rychtyk Poloki padajom: chcę, mogę, pójde...

Umi też Fyrcok na strom godać - drzewo, na gruba - kopalnia, na bergmona górnik, na szola - winda, na glasszrank - byfjy. No ni - "byfjy", to też po naszymu. Czyste poloki godajom: kredens. Na westa umi Fyrcok powiedzieć "kamizelka" i jeszcze mocka takich słów zno, co my se z tego śmiejymy, a oni ni.

U nas kiszka, to kiske mlyko. U nich, to je krupniok w strzewie W naszej mowie momy mocka słów staropolskich. Spytejcie se profesora Miodka z Wrocławia, eli kiery nie wierzy.

Fyrcok też by se nikiedy pogodoł z kimś mondrzejszym. Ale z kim? Z babom mog jyny o tym juterku pola za chałupom. Somsiadom ze wsi też jyny robota w głowach. Jak majom trocha wolnego czasu, to bydom szklodzić po chałupie i szukać roboty, bo dycki se znejdzie coś do naprawjynio. Z rectorym nic pogodo, bo to panoczek i z bergmonym zadowoł se nie bydzie. Ze sztajgrym na dole abo we warzicie - a niech bydzie i u Francika na Mycie - też jedynie o robocie pogodać szło. Při szkacie to se przeważnie mało godo. Fazożyczek też znoł Fyrcoka, ale jyny jako figlorza, co to umi sztychnyć, ale i pomoc też umi, jak kiery je w potrzebie. Jedni - co go znali - to mu te figle darowali, ale byli i tacy, co go chcieli chycić za słowo, donjyść na policyjo i wlepić mu sztrofa za ...

Z ksionżki Rudolfa Pacioka "Fyrcok za brifryjgra"

Rudolf Paciok

(ciong dalszy w nastampnym numerze ...)

DIE BERGORSCHÄ

Der Oberschlesier ist ein wahrer Meister in der Erfindung und Bildung neuer Worte, er besitzt hierzu ein großes Talent. Für einen Begriff hat er gleich mehrere passende Worte, welche von einem bestimmten Witz und Humor zeugen. So sagt er z.B. zu einem schönen Mädchen "schwarna" oder "feina" oder "gryfna" oder "schykowna" oder "schumna", "Frä-litschka". Diese Worte ethymologisch zu deuten, ist eine sehr schöne und interessante Arbeit. Ähnlich verhält es sich mit dem Wort "Bergorschä"; es ist eine typisch oberschlesische Wortbildung, wobei das Stammwort "Berg" verwendet wurde. Es steht im Zusammenhang mit dem Wort Berghalden sowie mit dem Wort bergen, gemeint ist damit das Bergen von Steinkohlen und dem anderen Abraham von Untertage. Wenn der Oberschlesier auf die Berghalden geht, so sagt er: "er geht auf die Bergi" und so werden auch die Leute, die auf die Halden gehen, als "Bergorschä" bezeichnet. Es sind meistens arme Menschen, die auf den Halden nach Kohlenabfällen, Brandschiefer und Holzabfällen suchen. Viele von ihnen haben dadurch einen kleinen Nebenverdienst, denn ihre eigene Kohle, welche sie als Deputat von der Grube erhalten, verkaufen sie und verwen-

den das Geld in ihrem Haushalt. Die auf den Halden gesammelten Kohlenabfälle verbrauchen sie selber. Von dem Erlös der verkauften Kohle wird eine größere Anschaffung gemacht; meistens ist es ein Ferkel und das hierfür benötigte Futter. Die auf den Halden gesammelten Kohlenabfälle haben keine große Brennkraft, sie sind stark mit Brandschiefer und Steinen vermischt und hinterlassen sehr viel Schlacke. Bei der Kohlenförderung Untertage werden die vollgeladenen Kippwagen, auch Hunde genannt, von Untertage den Schacht hinaufgezogen, um Übertage ausgewertet zu werden. Jeder Wagen, in welchem sich Kohle mit nur wenig Schiefer und Gestein befindet, wird Untertage mit einer Metallmarke gekennzeichnet, dieselbe trägt die Nummer von dem Förderort, an welchem die Kohle gehauen und verladen wurde. In früheren Zeiten hatte man anstelle der Metallmarke einen abgeflachten Holzpflock in einem Ausmaße von 3 x 3 x 25 cm. In diesem war eine römische Zahl eingekerbt, welche ebenfalls den Förderort bezeichnete. Übertage kamen die Wagen, die eine Marke hatten, in die Separation, um dort die Kohle von den restlichen Steinen zu säubern. Diese Arbeit wurde meistens von Frauen ausgeführt, man nannte die Frauen "Haschiore". Die Wagen ohne Marken kamen gleich auf das Gleis, das zur Halde führte. Hier wurden diese Wagen zu

einem Zug zusammengestellt und von einer Lokomotive an die Halden gefahren. Auf manchen Grubenanlagen mußten sie mit einem Aufzug oder einem Seilzug auf die Halden heraufgezogen werden und dort wurden sie abgekippt. Es gab verschiedene Arten von Halden, die meisten waren langgezogen, erstreckten sich auf viele hundert Meter, andere waren wieder kegelförmig aufgeschüttet. Bei jeder Grubenanlage lagen die Verhältnisse anders.

Den ganzen Tag über konnte man bei den Halden Menschen sehen, die Abfallkohle und Holzabfälle sammelten, Obwohl das ganze Gebiet um die Halden abgesperrt und das Betreten derselben verboten war, so kam es doch ganz selten vor, daß sich mal eine Aufsichtsperson von der Grube zeigte. Die Bergorschäs taten es auf eigene Gefahr und wenn sie mal weggejagt wurden, so kamen sie bald wieder. Die Arbeit dieser Menschen war sehr schwer und gefährlich, denn oft rollten große Gesteinsbrocken mit starker Wucht und Geschwindigkeit herunter und viele Leute sind beim Ausweichen über das Gestein gestolpert und haben sich verletzt. Nicht selten kamen Knöchel- und Unterschenkelbrüche, Hautwunden und Abschürfungen an Händen und Füßen vor. Die Bekleidung und das Schuhwerk dieser Kohlensammler war sehr ärmlich, die ältesten Fetzen und grobes Schuhwerk, auch "Schkarboe" genannt, wurden hierzu angezogen. Jeder war mit einem alten Eimer, auch "Kibäl" genannt, sowie einem großen Hammer, dem sogenannten "Muotek" ausgerüstet. Die Lokomotive brachte in unregelmäßigen Abständen die vollbeladenen Kippwagen an die Stelle, wo sie ausgeschüttet wurden. Wenn sich der Zug der Stelle näherte, schrie die Begleitmannschaft mehrere Male: "Achtung - Posur", worauf die am Fuße der Halde wartenden Bergorschäs in Position gingen, um die fettesten Brocken, welche den Abhang herunterrollten, für sich zu erhaschen. Es gab auch einige Kohlensammler, die es mit dem Begleitpersonal der Züge auf den Halden gut verstanden und die Kippwagen während der Fahrt zur Abkipfstelle nach guter Kohle durchsuchten und in ihre Eimer sammelten. Es gehörte schon eine bestimmte Erfahrung und Sachkenntnis dazu, diese Brocken, in welchen genügend Kohle vorhanden waren, von weitem herauszufinden. Die Anfänger hatten bei dieser Arbeit nur eine kleine und schlechte Ausbeute. Ein alter Bergorsch sah gleich seine Beute, denn er war stein- und kohlenkundig; die schweren Steine, welche schneller den Abhang herunterrollten, waren meist taub, sie hatten keine Kohle, die leichteren wiederum, welche hinter diesen zurückblieben, enthielten mehr Kohle. Die Steinbrocken, in welchen man Kohle vermutete, wurden mit dem Hammer auseinandergeschlagen. Die Arbeit war nicht schwer, denn die Brocken enthielten viel Brandschiefer, welcher sich leicht spalten ließ. Die so befreiten Kohlenstücke, vermischt noch mit Brandschiefer, wurden in die Eimer gesammelt und in einer bestimmten Entfernung von der Halde auf einen Haufen, auch "Kupka" genannt, geleert.

Die Arbeit der Kohlensammler dauerte stundenlang, je nach Glück, Fleiß und Kenntnis wuchsen ihre Kohlenhaufen. Meistens blieben sie den ganzen Tag über an den Halden, aßen dort ihr bescheidenes Mittagessen, oft war es nur eine in Zeitungspapier eingewickelte Fettschneide und tranken dazu schwarzen Kaffee aus einer Blechkanne. In kalten Jahreszeiten machten sie ein kleines Lagerfeuer, um ihre steifen Finger wieder ein wenig aufzuwärmen. Es war somit eine schwere, schmutzige und gefährliche Arbeit; dazu kamen noch viele Unstimmigkeiten, denn oft wurde in einem unbewachten Moment, der angesammelte Kohlenhaufen des einen viel zu schnell größer und der des Nachbarn dementsprechend kleiner. Böse Worte und Keilereien blieben da

nicht aus. Sobald die mitgebrachten Säcke und Körbe gefüllt waren, wurden sie auf den Handwagen, im Winter war es ein selbstgebastelter Kastenschlitten, verladen und hungrig, abgespannt und müde, im Winter meistens tüchtig ausgefroren, ging es dann heimwärts.

Selten ging nur eine einzelne Person Kohlen sammeln; es waren meistens mehrere, die sich zusammaten, darunter waren auch viele Kinder. Sobald das Sammeln der Kohlen gewerbsmäßig betrieben wurde, gingen ganze Gruppen auf die Halde und sammelten so viele Kohlen, daß diese von einem Pferdegespann abgeholt wurden. Meisten waren es Leute aus der Ratiborer Gegend, in der es keine Kohlengruben gab. Daher holten sich diese Leute an den Rydultauer und Pschower Halden ihr Brennmaterial. Oft kam es vor, daß die gesammelten Kohlen nicht am selben Tage abgefahren werden konnten, dann wurden diese mit Säcken abgedeckt und eine Nachtwache aufgestellt.

In den Notzeiten waren die Halden stark von armen Menschen belagert, besonders während der großen Arbeitslosigkeit in den zwanziger Jahren sowie nach dem zweiten Weltkriege. Viele Oberschlesier kamen nach dem Kriege nicht heim, sie hinterließen Witwen und Waisen, andere wurden wieder in Lagern eingesperrt und die Zurückgebliebenen wurden von keiner Seite unterstützt. Das betraf meistens Frauen und Kinder, sie lebten in bitterster Not und waren gezwungen auf den Halden Abfallkohlen zu sammeln. Ein großer Prozentsatz unter ihnen waren deutschgesinnte Oberschlesier, welchen alles weggenommen wurde. Nicht nur, daß man sie aus den Wohnungen herausjagte, man nahm ihnen auch das ganze Mobiliar weg. Diese Armen der Ärmsten, es waren wiederum meistens Frauen und Kinder, deren Männer nicht da waren, sind auf die Gnade der Mitmenschen angewiesen gewesen. Von meiner Mutter und von meiner Schwester habe ich das große Leid und Elend, welches sie nach dem zweiten Weltkriege in Oberschlesien mitmachen mußten, erfahren. Auch sie waren gezwungen für den Winter Kohlen zu sammeln. Unter den echten Oberschlesiern gab und gibt es immer wieder gute Menschen, welche den in Not geratenen Hilfe zukommen lassen.

Dr Leopold Walla

Aus dem Buch "So lebten wir in Oberschlesien"



Zeichnung Eva Gensel

WIDOKI

SZKOŁA

*więc pytasz ciągle
- cóż najlepszym światłem
dla człowieka mroku
odpowiadam niezmiennie
- ciemność*

Nie byłem uczniem pilnym. Bo pierwsza szkoła, do której chodziłem też nie była pilna. Różne rzeczy i wydarzenia pamiętam z mojej budy. Tylko nie wiem czy najważniejsze. Z racji tego, że byłem postrzegany jako rozzębny, często na lekcjach biegałem po papierosy dla nauczycieli, albo po mięso, które później zawoziłem im tramwajem do domu. (Kto wtedy żył, wiedział, jak piękną i niemalże magiczną sprawą był zostawiony pakuneczek w sklepie mięsny.) Byłem GOŚĆ. Miałem prawo wyboru. Zawsze wybierałem kogoś z klasy do towarzystwa. Byłem głupi. Zawsze wybierałem chłopców, a nie dziewczyny. Byłem zatem nieśmiały. W czwartej klasie z nudów zasypiałem na lekcjach, a rodzice byli wzywani do szkoły i karcono ich za sytuację w rodzinie, że niby w domu nie mogą spać. Podejrzenia były straszne. Ale to nauczyciele pili. Mieliśmy nauczyciela tzw. „wuefu” – dzisiaj nazwalibyśmy to lekcjami kultury fizycznej – który (a bywało to nierzadko) zniknął na pierwszej lekcji w barze piwnym, a my karnieprzekazywaliśmy sobie boisko i na okrągło rżnęliśmy w piłę. Nauczyciel nie pojawiał się już do końca dnia. Pięknie było. A kto nie pił, miał innego hopla w głowie. Matematyczka była w stanie tepawym uczniem tłuc o tablicę. Chemiczka też. Fizyczka nie potrafiła rozwiązać zadania z podręcznika. Geografka, to w ogóle temat na powieść. Na szczęście poloniści robili co mogli. Ale w mojej klasie nie dużo mogli. Cóż.

Ta moja pierwsza buda powinna była mnie nauczyć – jak się uczyć. Ale nie zrobiła tego. Dużo rzeczy nie zrobiła. Pierwsza szkoła, do której chodziłem była.

Druha była trudna, między innymi z tego powodu, że chodziłem do pierwszej. Ale również dlatego, że sama miała kłopoty z samą sobą. Ale zawsze będę ją wspominał z sentymentem. Tam w czwartej klasie, poznałem moją przeuroczą żonę. Przez trzy lata mijaliśmy się, ale dopiero w klasie maturalnej przeszła nas słynna strzała, która trzyma nas do dzisiaj. I – co jest nieustającym cudem - trzyma coraz bardziej.

I w końcu studia. Dobry Boże. Kto wtedy nie studiował, ten nie jest w stanie uwierzyć.

A teraz uwaga - po tym wszystkim zostałem nauczycielem.

Jakże dużo się wtedy nauczyłem, dzięki uczniom oczywiście. I tylko dzięki nim.

W końcu szkoła to szkoła.

Na szczęście dla uczniów i nauczycieli już nie ma mnie w szkole.

KOŚCIÓŁ

*w moim św. mieście er
u wawrzyńca
w ciemnej nawie bocznej
babulinka przetacza szeptem
paciorki zmęczonego różańca
być może jest jak ten atlas
- spekane sklepienie
gotyckiej świątyni
podtrzymuje na swych
pochylonych plecach -
być może
krzyżowe sklepienia
na swych połamanych barkach
dźwigają ciężar jej modlitwy
być może
gildia
budowniczych świątyń
nie zadaje pytań
nie szuka odpowiedzi
gildia
budowniczych świątyń
robi swoje*

Jestem katolikiem. Nie, jak tyłu moich wspaniałych przyjaciół protestantów, żydów czy ateistów. Jestem katolikiem. Jak mój ojciec, ojciec

meego ojca i jego ojciec. I gdyby była to tylko tradycja, jadłbym na wigilię karpia, moczku i makowki i chodził na pasterkę. Ale ja też jem karpia, moczku i makowki na wigilię i chodzę na pasterkę. I nie jest to tylko tradycja. I nie jest to kwestia przestrzegania sakramentów, ilości popełnianych grzechów, czy sprawiedliwej postawy chrześcijańskiej. Nie jest to kwestia noszenia krzyża i ciągłego świadectwa wśród innych. Jest to kwestia świadomości. I cokolwiek zrobię – dobrego i złego, wiem, że stoję ciągle przed Bogiem. A Bóg patrzy na kościół, który buduję w sobie i wokół. „A kto jest bez winy, niech rzuci kamieniem” Nie rzucam. Zbieram je i robię swoje. Bóg też nie rzuca i robi swoje. Winnetou (kto dziś pamięta, tego czerwonego brata) nawrócił się, kiedy słyszał południowe bicie dzwonów na „Anioł Pański”. Ja nawracam się ilekroć wejść do kościoła. Najlepiej starego. I nie muszę się modlić. W każdym z nich nagromadziło się tyle modlitw, że niemalże je słyszę. Siedzę sobie cichutko i pokorniućko, z otwartymi szeroko oczami lub półprzymkniętymi, albo zamkniętymi i słucham. I słucham. I słucham.

Mój kościół to siostry i bracia moi. Którzy byli przede mną, są teraz i będą po mnie. Którzy deptają ciągle tę samą ścieżkę do świątyni, do pracy, do domu, do świątyni, do pracy, do domu... Którzy nie rzucają kamieniami, a tylko używają ich jako budulca. Którzy codziennie terminują na placu budowy u Boga, ćwicząc znaczenie słów: przebaczenie i miłosierdzie. Którzy wiedzą jak Paweł z Tarsu, iż trwają wiara, nadzieja, miłość, te trzy: z nich zaś najbardziej miłość. Którzy wierzą, że mogą zostać jak Józef, Maryja i Jezus – świętą rodziną.

Mój kościół to kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca - opiekuna biedaków (a któż nim nie jest?) – w Wirku. Neogotycka świątynia, która już dawno miała się rozpaść. A która trwa i trwa, i ma się coraz lepiej. To w tym kościele był chrzczony mój ojciec i moi synowie. To w tym kościele dostrzegłem dziedzictwo, które zostawili nam nasi ojcowie. I był to prawdziwy cud.

BIBLIOTEKA

*Słów modlitewnych kilka do św. Wawrzyńca
niech święte bramy bibliotek pozostaną święte
w każdym mieście wsi i przysiółku
niech żywiły
a przede wszystkim nierozumny człowiek
nie czynią szkody
niech twoje święte bramy
pozostaną ciągle otwarte
dając schronienie rozumnym
przed żarem słonecznym i śniegiem
przed na wietrze falującym nieporozumieniem
i niech ścieżkiprowadzące do bram
są wciąż na nowo deptane
a bibliotekarzom wybacz
smutek stojących na straży czasu
a szaty ich niech pozostaną szare
a ich puste pełne ręce
niech będą jak od deski do deski
nieprzebyte przestrzenie
gdzie gwiazdy na zawsze
pozostaną białe
a trawa zielona*

Psyches iatreion (z grec. sanatorium dla umysłu) – głosił napis na portalu Biblioteki Aleksandryjskiej, najbardziej znanej, ale nie najstarszej biblioteki świata starożytnego. A najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, iż minęło kilka tysięcy lat i nic w treści wykutego w kamieniu hasła się nie zmieniło. Trochę zmian zaszło w formie gromadzonych zbiorów bibliotecznych, to jest nośnika, na którym zapisywano przechowywaną i udostępnianą myśl ludzką. Na początku były to wypalane gliniane tabliczki, następnie papirus, pergamin, papier, taśma magnetyczna i w końcu nośniki cyfrowe. Ale idea została ta sama. I nieważne czy gmach biblioteki przypominał w formie świątynię, czy był to pałac patrycjusza lub magnata, czy zwykła wiejska izba, albo nawet prozaiczny autobus, było to i ciągle jest swego rodzaju prawdziwe sacrum ludzkości. Czyli poświęcone miejsce. Najwspanialszy wynalazek ludzkości, bez którego żadna cywilizacja nie miałaby szans powodzenia. Specyficzna katedra budowana przez myśl i dla myśli. Cegła po cegle – jedna przypominająca ledwo co obrobiony kamień, inna finezyjnie dopracowana pokryta bogatym zdobieniem, jeszcze inna mająca formę i ciężar wielkiej płyty. Z mozołem – każda z nich – układana, doklejana, a czasem tylko pozornie składowana. Wszystkie jednak powiązane niewidzialnym spoidłem, a każda pochylona w sobie, składająca hołd wszystkim sąsiadom. Z czego

wyrasta swoista Wieża Babel. Czasem dosłownie. Pokorny szept języków zaklęty w kodeksach, budujący nieustającą pieśń. Pieśń silniejszą niż dźwięk trąb jerychońskich, mogącą powalić góry lub wysuszyć morza. Mogącą również unieść człowieka na kosmos. Niejednokrotnie będąca sama w sobie doskonałym tematem na nową pieśń, jak w utworach J. Borhesa, notobane ociemniałego bibliotekarza, który jak L. Beethoven, doskonale poruszał się w swoim ukochanym labiryncie, czy tekstach kongenialnego erudyty i naukowca U. Eco.

Jakże często niestety bywało, iż biblioteki niszczone, burzone, a księgozbiór na ogół palono. Czasem dla chwały, czasem ze zwykłej głupoty, czyli barbarzyństwa. A czasem przez zwykły przypadek. I działo się tak pod każdą szerokością geograficzną, aby nikt przypadkiem nie czuł się bez winy. Niestety i w naszym ogródku zdarzały się akty barbarzyństwa – jakże byłem zdziwiony, że nikt nie był w stanie odpowiedzieć, co się stało z księgozbiorem niemieckich publicznych księżnic tak znacznych grodów górnośląskich jak Bielsko, Cieszyn, Racibórz, Katowice, Gliwice, Bytom itd. Na ten temat nie pojawiła się żadna książka, żadne opracowanie naukowe, nie powstał żaden artykuł. Na przeczącym uniwersytecie w Katowicach (Wydział Historii lub Katedra Bibliotekoznawstwa) nie powstała żadna dysertacja w tym temacie, choć w niejednej pracy troskliwie pochylano się nad problemem książki w Niemieckiej Republice Demokratycznej. W obecnych polskich bibliotekach publicznych tych zaiste wspinających grodów na ten temat nie wie się zupełnie nic. Zatem cisza. Pompeje zniknęły pod lawą. Pewnie tamta książka niemiecka była zwykłą prostacką nic nie wartą makulaturą. Ale co tam książka. Wtedy dostało się nawet temu faszyście z bożej łaski kompozytorowi R. Wagnerowi.

Na szczęście biblioteki jak choroba zawsze wracały. I niech nikt się nie ludzi, że nie będą wracały. Zawsze będą tym uświęconym miejscem, katedrą, oazą wolnego, nieskrępowanego świata myśli. Bo jak mówi polski noblista Cz. Miłosz "Ty, który myślisz o nas: żyli tylko złudzeniem. Wiedz, że nigdy nie zginie nasz ród. Ludzi Księgi".

W filmie „City of Angels” amerykańskiego reżyseria Brada Silberlinga aniołowie żyją wśród nas, tylko nie możemy ich dostrzec naszymi ułomnymi ziemskimi zmysłami. Jest jednak miejsca, w którym te nieziemskie istoty przebywają, kiedy nie wypełniają swej misji. Tym miejscem jest oczywiście biblioteka. Najprawdziwsza ojczyzna aniołów. Jakże zazdrościć tym wszystkim pracownikom bibliotek.

Jakże zazdrościć sobie.

POEZJA

*poeta nie musi się znać na stolarce
ani nawet na geografii
o fizyce współczesnej
czy robieniu pierogów nie wspomnę
nawet nie musi się znać
na ortografii - i czy jest lub nie
może ale nie musi
poeta nie musi się znać
na odpowiedziach
a tym bardziej
wbrew powszechnemu przekonaniu
na stawianiu pytań
obca może mu być
wiedza konstrukcyjna
czy teoria literatury
(a i lepiej że nie ma o niej
żadnego koloru pojęcia)
literat powinien
poeta nie
jedyne na czym musi
to na kamieniach i piasku
i na niczym więcej*

Jestem poetą. Należy przyznać, iż wyznanie to kosztowało mnie sporo wysiłku. Bo napisałem to z niejaką dumą, ale i zakłopotaniem, czy nawet wstydem. A może i również ze zdziwieniem, bo to chyba mowa o kimś innym.

Jestem poetą. To znaczy kim? Najbezpieczniej byłoby odpowiedzieć, że osobą piszącą wiersze. Tak jak szewc jest osobą robiącą buty. Zatem co z tego wynika. Nic. Robota jak każda inna. Tyle że artystyczna. I tu dopiero zaczyna się taniec siedzącego w ciemnościach. Bo zarówno poeta jak i artysta mają konotacje pozytywne – osoby wiedzące i czujące lepiej, subtelniej, gdzieś na skraju boskości, a zarazem terminy te wyzwalają odczucia dość pejoratywne – znaczące tyle co wariat, głupek, nieudacznik. Ale jak

tu być artystą na początku XXI wieku, kiedy poprzednie stulecie całkowicie przenicowało sztukę. Arcydzieło malarskie zderzyło się z białym płótnem, idealny wiersz odbił się od białej niezapisanej, kartki, utwór muzyczny zrównał się najpierw z kakofonią chaotycznych dźwięków, a następnie z ciszą, itd. Później poczynania awangardy zwariowały. Sztuka zamiast budować stała się siłą destrukcyjną.

Najpierw niszczącą sama siebie, a następnie wszystko dookoła. Bo kiedy zjadła własny ogon zaczęła uderzać byle mocniej i byle głośniej. A kiedy słuch i wzrok zgromadzonej gawiedzi stępił się, artyści, tak zwani koryfeusze sztuki, uderzali jeszcze mocniej i jeszcze głośniej niż poprzednio. Stając się w końcu bardziej operetkowymi bokserami, aniżeli pomażącami. Sacrum zostało utopione w szczynach idiotów i głównie prostytutek. Tak jak wcześniej, bez większego rozgłosu profanum zostało najpierw zgwałcone, a później wdeptane w chodnik. I tak narodził się postmodernizm, czyli czasy postsztuki (momentami wybitnie błyskotliwej – jak jasna cholera).

Tak więc jestem poetą. Niepoetycki z jednej strony i z drugiej strony też niepoetycki. Czyli bardziej niepoeta niż poeta. Jednak po tej nawałnicy XX wieku na szczęście została jeszcze strona środka. Chowam się tam, chcąc od czasu do czasu odetchnąć inaczej, czyli od nowa po staremu. Czyli inaczej. Po staremu.

Zatem jestem poetą. Układam wiersze ze słów, jak najbardziej stroniąc od wszelkiego rodzaju tak zwanych środków artystycznych, choć czasem wpadam w balkon pętli, czy inne artystyczne bełkocenie. Język niemalże niepoetycki, bardziej proza zbliżająca się do granicy banału, w swojej strukturze przypominająca mowę potoczną. A wszystko po to, aby gdzieś tam na drugim planie, trochę nieśmiało i jakby mimochodem, pojawiła się, początkowo zupełnie niewidoczna, zamyślona buzia poezji z jej rozszarżonymi, szeroko otwartymi oczami. Aby czytelnik uśmiechnął się podczas czytania tym swoim uśmiechem wewnętrznym, uwalniającym uśpione do tej pory budujące fluidy, które wtedy, w znany sobie sposób, zaczynają powolutku spływać po kręgosłupie, sącząc się ożywczo do całego ciała. Tyle teoria.

Praktyka, jak to praktyka. Praktykuje często jak praktykant (miała być raca świetlna, a wyszła graca, jak to na ogół bywa).

Układam mur z wierszy. Katedra potrzebuje każdego budulca. Ten nie jest taki zły. A kto wie, czy nie najlepszy.

I jeszcze zasadnicze pytanie, na które poniekąd odpowiedź padła powyżej – Co to jest poezja?

Poniekąd. Moja katedra. I moje pogmatwanie. I moje zmartwychwstanie.

Poniekąd nie ma na takie pytanie odpowiedzi.

*już dawno mi się nie zdarzyło
oj dawno i chyba na wiosnę
ale dzisiaj o szóstej rano
w moim mieszkaniu w bloku
o którym mówią mrówkowiec
może dlatego że pełno w nim
mrówek faraona
a czemu one faraona
nie wiem - może przyszły z piramid
co byłoby jakaś tam pociecha
ale niech to
więc w tym moim mieszkaniu
a dokładnie w kuchni
kochałem się znowu bez pośpiechu
z szymborską...
po wszystkim zapaliłem papierosa
nie żeby coś utrwalić albo rozpamiętać
ile z cisy która przysła ze wszystkich stron
zaciągałem się powoli
słyszac trzeszczenie tytoniu
i opór klejonej bibułki
słyszac wiatr
wiejący gdzieś daleko w górach
co było oczywiście niemożliwe
bo przecież cisza
po papierosie przyszła pora na herbatę yunan
w zwyczaju barbarzyńców z cukrem
w sumie nie wiem jak i po co o tym
te moje kilka banalnych słów
może z zazdrości
a może z zachwyty
a może*

*co jest najbardziej prawdopodobne
z tej trzeciej środkowej strony*

KATEDRA

Europa

*mityczna arkadia
miodem i mlekiem
zlana krwią
może poświęcona
(ale żeby aż tak)
wielka jak świat
a taka mała
delikatna
tak odmienna
i sprzeczna
tak szalona
może szaleństwem
starej wariatki
w różowym ortalionie
jakby uspokojona
albo zasypiająca
albo
co jest najbardziej
możliwe
okrzepła
i choć nic z tego
patrzac na te jej
nieustanne
wyglupy
ten pomysł
wydaje się być
najlepszy*

Śląsk obecnie leży w granicach Polski. Od kiedy pamiętam zawsze tak było. Państwo polskie towarzyszyło mi ze swoją historią, legendami i mitami, ze swoją walką i wielkością, ale również ze swymi upadkami i momentami przerażającymi. Przepiękny język i kultura polska była zawsze ze mną. A koncepcja Królestwa Obojga Narodów, choć narodów było całe mnóstwo, była jak balsam, jak idea niosąca pokręconą duszę ludzką do gwiazd. Być może ta idea uwidła Wojciecha Korfańtego, czy jak chcą Niemcy Adalberta Korfańtego i całą elitę powstańczo – plebiscytową. Bo przecież nie mógł to być poziom cywilizacyjny mieszkańców Polski, który delikatnie mówiąc odbiegał znacznie od wyższych standardów europejskich, czyli śląskich. Być może. W końcu jednak stało się. Cały Śląsk wrócił (cokolwiek oznacza ten termin) do Polski po II wojnie światowej. Jednak udowadnianie, iż ziemie te zawsze były polskie, w związku z czym wróciły one do macierzy, jest zwykłym nadużyciem. To tak jakby przekonywać, że ziemie utracone również wróciły do macierzy (tylko jakiej?). A jeżeli nie, to mamy do czynienia z filozofią Kalego. Z drugiej strony udowadnianie, że ziemie te są niemieckie i powinny zostać przyłączone do Niemiec, jest dokładnie taką samą brednią. Obecny stan rzeczy jest konsekwencją sytuacji politycznej, która zaistniała po ostatniej wojnie światowej. Jeżeli rozpętuje się szaloną wojnę i przegrywa ją się z kretelem, należy ponieść tego konsekwencje. Gdyby hitlerowskie Niemcy wygrały tę wojnę nie byłoby tematu. Rozumiem, że to boli (Niemców), ale taka jest rzeczywistość. Podpisano układy między państwowe i koniec. Na dzisiaj oczywiście. W niedalekiej już przyszłości, miejmy nadzieję, oba państwa – Niemcy i Polska – będą w Unii Europejskiej (gdzieś tu obją się idea Korony). I rozwiązanie to dla Śląska jest najlepsze. Za sto lat lub dwieście może być inaczej. Teren Śląska może należeć dajmy na to do Chin lub Iranu. Lub innego tworu państwowego. Kto to wie. Ale sytuacja na dziś, na szczęście jest taka jaka jest. Jednak ciągle udowadnianie na siłę, że te kilkaset lat wpływów germańskich są nic nie znaczącym fragmentem dziejów tej ziemi jest w istocie rzeczy zabawne.

Fakty są nieubłagane. Przez te kilkaset lat była prowadzona permanentna germanizacja tych ziem. I należy przyznać dość skuteczną. Nigdy jednak żywił niemiecki (cóż za ciekawa figura literacka) nie eksmitował ze Śląska w trybie pilnym kilku milionów Polaków. Nie można jednak tego powiedzieć o Polsce. Ktoś może powoływać się na sprawiedliwość historyczną, iż po bestialsko prowadzonej wojnie Niemcom się należało, to co stało się po roku 1945. Acz należy pamiętać, że kategoria sprawiedliwości historycznej jest kategorią czysto literacką. Repolonizacja pozostałych mieszkańców, tak zwanych autochtonów, zamieszkujących głównie tereny Górnego Śląska, była pozbawiona tak samo skrupułów, jak uprzednia germanizacja. Współzomkowie moi nie są nic lepsi i nic gorsi. Na szczęście.

Pomysł z Unią Europejską rozwiąże jeszcze jeden kłopot. Relacje między państwem polskim i bratnim, słowiańskim sąsiadem, czyli Czechami. W końcu książęce miasto Cieszyn, czy jak chcą bracia zza Olzy Teszin, jak bywało to, znowu nie tak dawno, stanie się jednym nie podzielonym grodem, leżącym w Polsce i w Czechach, czyli na Śląsku.

Unia Europejska jest jak katedra budowana współcześnie na tym naszym umęczonym kontynencie. Proces jest powolny, uciążliwy i momentami wyczerpujący. I być może nic z tego nie wyjdzie. Ale pomysł jest na tyle wielki i wspaniały, że warto próbować. I to jak bardzo. Bo jeżeli nie to, to co? A jeżeli nie teraz, to kiedy?

Może każdy owoc musi dojrzeć. Może dużo krwi w rzekach musi upłynąć, aby prowadzona wojna zakończona została pokojem. Co też, wszystko na to wskazuje, jest jedynie figurą literacką.

Niszczyc jest łatwiej i na pewno efektywniej - budować jest trudniej. I choć brzmi to jak wybitnie zużyty frazes, powtarzany do znudzenia jako pewnik, jakby się nad nim głębiej zastanowić, okazuje się, że pomimo wszystko, akt budowania, jest trwalszy i niezwyknięty, niż burzenie, które przecież jest tylko negatywną formą budowania. A budowniczo wie grubi i chudzi, fioletowi i beżowi, garbaci i modelowi zawsze znajdują wspólny język. I przystawiają swoją cegłę. I choć budowanego gmachu początkowo nie widać, skok w gwiazdy jest już przeczuwany. Mówią o tym ptaki i zwierzęta w lesie oddalonym na rzut kamieniem. Tylko ludzie nie potrafią jeszcze zobaczyć. Ale to tylko kwestia czasu.

Państwa przemijają. Cesarstwa padają. Cywilizacje znikają. Święte miasta stoją dalej. Czasem wniwecz zamienione, w czarodziejski sposób odradzają się, podejmując niema pieśń. Pieśń budowania katedr.

* * *

*w knossos jak zwykle ciepło
i słodko
jak w opowieści o początku
kandyzowane soki
oblizują z ciała
półnagie kobiety
pod okiem nad wyraz
kształtne byka
w knossos jak zwykle ciepło
i tłoczno
jak na praskim rynku
ten sam kolorowy tłum
jedni leżą
inni leca
może w kosmos
jak syn dedala
może nie
w knossos jak zwykle ciepło
i duszno
kolejne cienie
umykając w historię
przenikają w przyszłość*

OGRÓD

Dom

*stary dom na wzgórzu
oswajam
puste przestrzenie
wielkie sale
labirynt korytarzy
i zakamarki
a także tajne przejścia
i zapachy
oswajam
jak pies pana
jak dziecko
świat odkrywany
ciągle i ciągle
przede wszystkim na staro
gdy się zwieńczy
będę jak on wiekowy
pelen sal i labiryntów
gdzie wszystkie zapachy
znajdą swoje miejsca
wtedy bez gonitwy razem usiądziemy
w ogrodzie na wzgórzu
który ma smak ziołowej herbaty*

Ekspozycja czynna do 14 września 2002 w galerii „Krekot”
Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej

„BANKNOTY ZASTĘPCZE ŚLĄSKA 1914-1924”

W sierpniu 1914 roku, z chwilą wybuchu I wojny światowej, na terenie całych ówczesnych Niemiec odczuwany był dotkliwy brak pieniądza monetarnego o nominałach od ½ do 20 marek. Spowodowane to było poczynaniami państwa, starającego się zwiększyć swoje rezerwy złota, jak też reakcją ludności która pochowała złote i srebrne monety na „czarną godzinę”. Aby zaradzić powstałym trudnościom władze samorządowe, a nawet większe przedsiębiorstwa szybko zdecydowały się na emisję prowizorycznego pieniądza zastępczego, o ograniczonym czasie i terenie obiegu. Nie było to w pełni legalne, ale z konieczności tolerowane przez państwo. Pojawiły się walory zwane notgeldami i nikt początkowo nie przypuszczał, że emisje tego typu występować będą w całej dekadzie 1914-1924. Zaowocowało to dziesiątkami tysięcy różnorodnych banknotów i bonów oraz tysiącami notgeldów monetarnych.

Również na Śląsku, wtedy prowincji Prus podzielonej administracyjnie na trzy rejencje, było to zjawisko powszechne. Szczególnie dużo wystawców pieniądza tego typu pojawiło się na Górnym Śląsku, czyli ówczesnej rejencji opolskiej. W rejencji wrocławskiej sporo pieniądza zastępczego pojawiło się w samej stolicy – Wrocławiu, jednak prym wiodł tu Wałbrzych. Bogactwo emisji wałbrzyskich początkowo wynikało z jego roli centrum przemysłowego, a później z chęci osiągnięcia dodatkowych wpływów do kasy miejskiej. Podobnie było w rejencji legnickiej, gdzie samą Legnicę zdystansowała Zielona Góra emitująca wiele serii reklamowych, bo przecież miasto to słynęło wtedy ze swych winnic i sadów.

Notgeldy są dziś namacalnym świadectwem historycznym najważniejszego okresu minionego stulecia, gdy na gruzach trzech cesarstw wrzoryły się nowe państwa europejskie, w tym też odradzała się niepodległa Polska. Plebiscyt i walka zbrojna powstańców śląskich również zostały utrwalone na tych walorach, szeroko wykorzystywanych do celów propagandowych. Ostateczny kres rozpowszechnianiu lokalnego pieniądza położyła dopiero reforma waluty niemieckiej, kończąca okres hiperinflacji.

Wystawa „Banknoty zastępcze Śląska 1914 – 1924” obejmuje łącznie ponad 2000 banknotów i bonów z około 160 miast i gmin tego regionu. Ekspozycja ma charakter przenośny, gdyż powstała z myślą o prezentowaniu jej w powiatach i miastach śląskich, gdzie emitowano pieniądze tego typu. Z uwagi na jej edukacyjny i regionalny charakter szczególnie godna jest polecenia placówkom oświatowym. Stanowi przecież swoistą swoiste przedstawienie historii regionu i „małych ojczyzn” (powiatów, miast, a nawet gmin). Dzieci i młodzież szkolna na wystawie mają okazję poznać dzieje swego bezpośredniego otoczenia.

Do 14 września tego roku ekspozycja czynna jest w galerii „Krekot”
Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej
(ul. Dąbrowskiego 18). Serdecznie zapraszam.

Bronisław Wątroba

PAMIĄTKOWE BANKNOTY ZASTĘPCZE UJAZDU 1923 R.

Ujazd, niewielka miejscowość górnośląska, o bogatej historii sięgającej XII wieku, uzyskała prawa miejskie z nadania biskupa wrocławskiego już w 1223 roku. Miasto to było długo własnością prywatną, początkowo biskupów wrocławskich, później książąt opolskich, z kolei rodów Kochcickich i Wilczków, a od 1837 roku książąt Hohenloe-Oehringen. Budowa Kanału Kłodnickiego w 1788 roku przyczyniła się do ożywienia miasta i pewnego wzrostu liczby ludności.

Bezpośrednio przed I wojną światową Ujazd miał status gminy miejskiej powiatu strzeleckiego i liczył nieco ponad 2000 mieszkańców, z bardzo dużą przewagą ludności niemieckiej, co znalazło też odzwierciedlenie w

*i śliwkowych konfitur
tam przy stole pod kasztanem
zostawimy pootwierane drzwi
dla tych naszych kilku gości
i resztki na talerzu
aby ptaki wiedziały gdzie jest ich dom
- zaciągam się papierosem
popiół nieopatrznie
ładuje na wykrochmalonym obrusie
mucha buczny przed nosem
wiatr czesze korony drzew
dzieci robią miny w oknie
taak
tak to wygląda
nie inaczej*

Tak się szczęśliwie zdarzyło, że mieszkam ostatnio na kopalni. Brzmi to trochę dziwnie, ale tak to wygląda. Szybu już oczywiście nie ma, ponieważ został rozebrany i być może przetopiony w pobliskiej hucie. I na szczęście nie na armaty. Ostały się zabudowania – pałacowe hale, które przyciągnęły różnego rodzaju firmy – od hurtowni piwa do warsztatów samochodowych. Jest jeszcze ten mój nowy, stary dom, do którego wjeżdża się przez bramę kopalnianą, o czym zaświadcza skrzyżowane młotki – symbol górnicy – pomalowane na zielony kolor (bo jakże inaczej). I w końcu ten dom dość sfatygowany i dość poobijany, niczym żółw morski pozbawiony od bardzo dawna wody. Ale gdy się przyjrzeć, gdzieś tam w detalach, skrywa się jeszcze urok i potęga minionej chwały. Jest jak symbol. Tego wszystkiego o czym śpiewałem i o czym chciałbym, tylko nie starcza mi sił, talentu, bądź cierpliwości. Jest jak dobra przystań, z której w pokoju mogę wyruszać na wyprawy, ponieważ kotwica jest tak mocna, że po linie, nawet w największy sztorm trafić do domu. Jest jak ogród we wrześniowy poranek. Po którym przechadzam się i zbieram jabłka, czasem sięgając po któreś, a sok spływa mi po wardze i palcach. Kiedy jestem w środku słyszę bzykanie ciszy. Słyszę w końcu siebie. Jestem tu i teraz. Dla was synkowie moi i dla was przyjaciele. Jest zech tu – i znaczny to dla mnie bardzo dużo.

Tak się szczęśliwie zdarzyło, że mieszkam ostatnio na kopalni.

Krzysztof Gałuszka

z książki *Sagrada Familia*, (www.gall.terramail.pl/sagrada.htm)



wynikach plebiscytu z 20.III.1921 roku. W III powstaniu śląskim Ujazd został szybko zajęty przez powstańców i zaciekle broniony, jako ważny punkt strzegący dostępu do okręgu przemysłowego.

W mieście tym od początku wojny, aż po 1923 rok nie ukazywały się żadne pieniądze zastępcze typu papierowych notgeldów. Jednak rocznicę 700-lecia nadania praw miejskich władze samorządowe starały się uczcić jako szczególnie i z tej właśnie okazji doszło do emisji bonów o nietypowym nominale 700 marek. Sam nominal służył podkreśleniu tak ważnej rocznicy. Warto jednak pamiętać o tym, że walory te praktycznie nie pełniły roli rzeczywistego pieniądza, będąc głównie swoistą pamiątką skierowaną do mieszkańców oraz licznej rzeszy kolekcjonerów w całych

Niemczech. Magistrat zyskiwał dzięki temu pewne środki pieniężne na swoje wewnętrzne potrzeby.

Wiosna 1923 roku to jednak już początek okresu galopującej hiperinflacji marki niemieckiej i wartość takiego pieniądza (określona nominalnie) była już tylko symboliczna. Prawdopodobnie rozprawdzano je w cenie sięgającej tysięcy marek, bo przecież w połowie roku dolar amerykański wart był już około 150 000 marek.

Znane mi są dwa walory jubileuszowe tej miejscowości. Pierwszy z nich ma postać kartonika z obustronnym nadrukiem w tonacji szaro-brązowej. Na awersie bonu umieszczono stylizowany herb miasta, przedstawiający dwa pektorale i mitrę biskupią. Po bokach herbu widzimy zaś dwie charakterystyczne, zabytkowe budowle miejskie. Z lewej strony neogotycki kościół Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny z XIX wieku, określony jako „Brunnelkirche”, co nawiązywało do istniejącego tu wcześniej źródła. Po prawej stronie mamy z kolei ilustrację zamku książąt Hohenloe-Oehringen, będącego ozdobą tego miasta. Dzisiaj jednak jest to już tylko renesansowa ruina, ponieważ zamek został zniszczony w 1945 roku, tak jak i znaczna część miasta. Za tym budynkiem można też dostrzec wieżę kościoła parafialnego św. Andrzeja Apostoła, fundowanego jeszcze w 1613 roku przez ówczesnego właściciela miasta Mikołaja Kochcickie-

go. Rewers tego waloru nie jest już może tak ciekawy, ale prezentuje umieszczony centralnie kontur panoramy miasta, okolicznościowe napisy, nominał i datę emisji 27.V.1923 r.

Drugi z walorów pamiątkowych o identycznie określonej wartości, wydrukowany jest na papierze ze znakami wodnymi. Banknot ten ma większe wymiary, lecz zastosowano tu już tylko jednostronny nadruk, charakterystyczny dla niemieckiego pieniądza okresu hiperinflacji. Z lewej strony widzimy na tym notgeldzie ozdobny herb miejski i okolicznościowe napisy. Większą część waloru obwieszona została gilozową ramką, w której centralnie określono nominał, a po bokach umieszczono identyczne (jak w przypadku poprzedniego bonu) ilustracje budowli miejskich. Oczywiście i tutaj całość uzupełniają jeszcze napisy i taka sama data emisji. Kolorystyka tego notgeldu jest brązowo-niebieska.

Nakłady tych bonów były stosunkowo wysokie, choć dzisiaj walory te trudno pozyskać do zbioru, gdyż uległy rozproszeniu po całych Niemczech. Możemy się jednak zachwycać ich pięknem. Postrzegać w nich cenną pamiątkę przypominającą nam wielowiekową historię Ujazdu, oczekując zarazem kolejnego, okrągłego jubileuszu.

Bronisław Wątroba

PAPIEROWY PIENIĄDZ ZASTĘPCZY GMINY KNURÓW

Z początkiem XX wieku Knurów był gminą wiejską z obszarem dworskim, stanowiącą część powiatu rybnickiego. Większość mieszkańców była Polakami. Rozwój miejscowości jednak związany był ściśle z przemysłem, a zwłaszcza z wybudowaną na początku wieku kopalnią węgla kamiennego „Knurów”.

W sierpniu 1914 roku, po wybuchu I wojny światowej, podobnie jak w innych gminach i miastach górnośląskich i tu dotkliwie odczuwano brak pieniądza kruszcowego (monet o nominałach od 1/2 do 20 marek), co bardzo utrudniało wszelkie rozliczenia pieniężne. Szczególnie uciążliwe było to dla licznej załogi największego zakładu, czyli kopalni.

Aby jakoś się z tym uporać IV Królewski Inspektorat Górniczy, mający swą siedzibę w tej miejscowości, wyemitował dla potrzeb kasy kopalnianej banknoty zastępcze o nominalnie 5 marek. W innych miastach i gminach, gdzie właścicielami kopalń byli prywatni przedsiębiorcy, to oni byli z reguły wystawcami takiego pieniądza zastępczego. Kopalnia „Knurów” była jednak przedsiębiorstwem państwowym, gdyż jej budowę (w latach 1904-1910) finansowano w całości z funduszy skarbu pruskiego. Bezpośrednim wydawcą bonów mogła być w tym przypadku państwowa agenda nadzoru górniczego.

Walory pieniężne wydrukowane zostały jednostronnie na różowym papierze, w ilości nie większej niż 4000 sztuk. Zapewne nie wszystkie zostały wprowadzone do obiegu, gdyż część mogła stanowić pewną rezerwę kasową. Na banknocie podano datę emisji 12.VIII.1914 roku oraz

określono datę ważności tego pieniądza 1.IX.1914 roku. Była to więc emisja krótkoterminowa. Pomimo tego jako pewne zabezpieczenie zastosowano numerację, pieczęć urzędową i odręczny podpis. Do wymiany tych walorów na państwowe środki płatnicze zobowiązana była kopalniana kasa. Praktycznie nie obeszło się też bez pewnego ograniczenia, gdyż kasa ta wymieniała minimum 4 sztuki o łącznej wartości 20 marek. Mimo wszystko jednak praktycznie całość wprowadzonych do obiegu walorów została wykupiona.

Na tym jednak historia tego knurowskiego notgeldu się nie zakończyła. Po pewnym okresie przechowywania ich w kasie, walory te zostały ponownie użyte, gdy przy kopalni utworzono obóz jeniecki. Wystarczyło je wtedy opatrzyć obustronnie stemplem o treści „Nur für Kriegsgefangene” i wprowadzić ponownie do użytku, tym razem już jako typowe bony jenieckie. Dzisiaj na rynku kolekcjonerskim spotyka się praktycznie te walory tylko z taką pieczęcią, co może świadczyć o tym, iż całość emisji została w ten sposób wykorzystana. Jako ciekawostkę warto też dodać, że spotyka się rzadszą odmianę z błędnym nadrukiem, a poza tym stosowano fioletowy lub niebieski tusz.

Choć już w roku 1917 wiele gmin, miast i instytucji ponownie wprowadzono do obiegu lokalnego własne emisje niskonominałowego pieniądza zastępczego, to w Knurowie jednak do tego nie doszło. W jakimś ograniczonym zakresie mogły tu być jednak stosowane edycje magistratu Rybnika. Sytuacja uległa jednak zmianie z końcem wojny, gdy władze państwowe wręcz zachęcały do emisji takiego pieniądza (choć było to tylko przejściowe).

Z uwagi na znaczną deprecjację marki niemieckiej w czasie wojny, z końcem 1918 roku potrzebne były banknoty zastępcze o wyższych nominałach, aby jakoś zaradzić brakowi państwowego pieniądza na rynku lokalnym. Nawet przeprowadzona wtedy specjalna emisja dla potrzeb całego Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, gdzie wśród wystawców wymieniono też powiat rybnicki, nie zapobiegła szerszej emisji pieniądza tego typu.

W Knurowie ponownie wystawcą bonów pieniężnych okazał Inspektorat Górniczy, przy czym tym razem wydano dwa odcinki o nominałach 20 i 50 marek. Walor dwudziestomarkowy wydrukowano jednostronnie na papierze w kolorze zielonym, ze znakami wodnymi. Nominał 50 marek wykonano natomiast na białym papierze ze znakami wodnymi. Dodatkowym zabezpieczeniem była numeracja, urzędowa pieczęć i odręczny podpis. Walory te ważne były od



12.XI.1918 r do 10.XII.1918 r. Przy ich wykupie nie miało już dochodzić do żadnych ograniczeń.

Na tym działalność emisyjna urzędu nadzoru górniczego w Knurowie definitywnie się zakończyła, co jednak nie znaczy wcale, że w tej miejscowości nie pojawiły się już żadne inne pieniądze zastępcze typu notgeldów.

Podczas plebiscytu mieszkańcy Knurowa opowiedzieli się w większości za Polską, czego się można było spodziewać z uwagi na istniejące proporcje stosunków narodowościowych, a nawet na wcześniejsze wybory samorządowe, w których Polacy na 12 mandatów zdobyli 9.

W III Powstaniu Śląskim miejscowość już 3 maja zajęta została przez powstańców, a nieco ponad rok później Knurów został oficjalnie przejęty przez władze polskie. Aby jakoś upamiętnić te wydarzenia, samorządowe władze gminne wyemitowały w maju 1922 roku serię pamiątkowych walorów zastępczych o nominałach 1, 2 i 5 marek.

Na kolorowych awersach nominałów 1 i 2 marek umieszczono widok kopalni „Knurów”. Natomiast na awersie nominału 5 marek znajdujemy zdjęcia przedstawiające uroczystość patriotyczną. Rewersy nawiązują do wydarzeń związanych z walką Polaków o przyłączenie części Górnego Śląska do Polski.

Na niższych nominałach umieszczono zdjęcie gliwickiego cmentarza, gdzie w kaplicy mieścił się tajny, niemiecki skład broni i amunicji. Arsenał ten był podminowany i w czasie przejścia przez wojska francuskie nastąpił wybuch, w efekcie którego część żołnierzy zginęła. Na rewersie

pięciomarkówki znajduje się zdjęcie z pogrzebu doktora Franciszka Styczyńskiego, znanego gliwickiego działacza plebiscytowego i powstańca, który w kwietniu 1922 roku został zamordowany przez niemieckiego bojówkarza. Napisy na tych banknotach zastępczych są dwujęzyczne (niemieckie i polskie), a ich ważność określono na jeden rok. Serię knurowską wykonano w mikołowskiej drukarni Karola Miarki.

Podobne emisje pieniądza zastępczego o propagandowej wymowie, pojawiły się również w innych gminach przyłączonych do Polski. Była to też pewna odpowiedź na identyczną akcję w miejscowościach położonych po stronie niemieckiej, gdzie ukazało się wiele serii notgeldów o treściach proniemieckich i antypolskich. Zresztą w tym okresie do emisji pieniądza zastępczego nie dochodziło praktycznie z powodu autentycznych potrzeb lokalnego rynku, lecz raczej właśnie z uwagi na pewne właściwości propagandowe i reklamowe takich bonów, jak też w związku z potrzebami kas samorządowych.

Kolekcjonerstwo tych walorów stało się bardzo popularne wśród licznej rzeszy zbieraczy, co było źródłem dodatkowych dochodów dla samorządów. Pojawili się już nawet hurtowi handlarze, gwarantujący gminom zakup części takich emisji, co w dużej mierze uwalniało kasy samorządowe od obowiązku wykupu tego pieniądza za pełnoprawne środki płatnicze. Sytuacja uległa zmianie z nastaniem okresu hiperinflacji marki niemieckiej. Do kolejnej emisji w Knurowie jednak już nie doszło, właśnie z uwagi na zmianę przynależności państwowej tej miejscowości.

Bronisław Wątroba

W Cz. Cieszynie, 26. lipca 1924.

NASZ LUD

<p>Prezumeracja: Rocznik II. Kwa. Półrocznik 24 Kwa. Czwartek 12 Kwa. Numer pojedynczy 70 It.</p>	<p>Wolne słowo dla ludu śląskiego. Wychodzi co tydzień w sobotę.</p>	<p>Ceny ogłoszeń: Ogłoszenia stałe: 120 Kwa. od kwietnia; 150 Kwa. od października. Ceny ogłoszeń stałych: 120 Kwa. od kwietnia; 150 Kwa. od października. Ceny ogłoszeń stałych: 120 Kwa. od kwietnia; 150 Kwa. od października. Ceny ogłoszeń stałych: 120 Kwa. od kwietnia; 150 Kwa. od października.</p>
Rocznik II.	Adres redakcji i administracji: Czeski Cieszyn, ul. Frydecka Nr. 8.	Numer 30.

NASZ LUD - Wolne słowo dla ludu śląskiego

Wychodzi co tydzień w sobotę

Adres redakcji i administracji:

Czeski Cieszyn, ul. Frydecka Nr. 8,

Rocznik II, Nummer 30, Czeski Cieszyn 26. lipca 1924

W ROCZNICĘ KRZYWDY

Po raz czwarty zbliża się ów czarny dzień w historii kraju rodzinnego. dzień 28. lipca, na którym w 1920 zapadła w Paryżu uchwała rady ambasadorów, mocą której kraj nasz i lud nasz został rozkawałkowany na dwie części. Uchwałę tę już na ów czas nazwano wyrokiem śmierci nad ziemią cieszyńską.

Szerokie warstwy ludności naszej nie zrozumiały w pierwszej chwili całej doniosłości tego aktu. Dziś po czterech latach chyba już niejedyn przekonał się o nader zgubnych skutkach takiego podziału.

Mają ludy, lub też choćby poszczególne okolice swoje dni pamiątkowe, dni sławy i radości. mają też dni smutku i żałoby. Dzień 28. lipca to dla nas krajan śląskich dzień smutku i żalu, dzień krzywdy ludu naszego.

Dnia 12. września 1919 uchwaliła najwyższa na ów czas potęga w świecie, to była „Naczelna Rada w Paryżu” że na terytorjum kraju naszego ma być przeprowadzony plebiscyt, czyli głosowanie ludowe, a to aby „zasięgnąć zdania ludności w sposób dający rękojmię prawnego i szczerego wypowiedzenia się”, co do tego, jak wyznaczyć należy czesko-polską granicę w kraju Cieszyńskim, na Spiżu i w Orawie. Uchwała ustalająca plebiscyt powiada dalej w 6. artykule, że przy wyznaczeniu tej to granicy należy uwzględnić życzenia wyrażone przez mieszkańców oraz położenie geograficzne i stosunki ekonomiczne.

Trzeba nie zapominać, że o granicy tej mieli decydować ludzie, nie mający podotąd ni o życzeniach ludności, ni o stosunkach ekonomicznych

choćby najsłabszego pojęcia. Słuszne były zatem zasady uchwalone w Paryżu, że komisja powinna na owe okoliczności brać należyty wzgląd. Ale pożałuj Boże, jakoż to te piękne zasady zostały przy ostatecznym rozgraniczeniu uwzględnione. Zasady te znieuważniono, zlekceważono. Nigdyby ludność, gdyby ją zapytano, czy taką granicę uważa za możliwą - nie była się na coś podobnego zgodziła. Życz ludności nie uwzględniono.

Dnia 3. lutego r. 1920 wydała komisja międzysojusznicza uroczystą odezwę do ludności obszaru plebiscytowego. Manifest ten podpisali przedstawiciele najwyższej władzy świeckiej. minist. hr. Manneville, imieniem Francji, wiceminister Marquis Borsarelli, imieniem Włoch, generalny konsul Wilton, imieniem Angiji i zastępca Japonji Dr. Yamada. Oprócz tych państw zastępował Amerykańskie Stany Zjednoczone konsul Dr. Dubois, który wszakże proklamacji nie podpisał.

Otóż tego wymienione mocarstwa dały ludności kraju naszego w uroczysty sposób między szeregiem innych i oto takie przyrzeczenie, którym manifest jest zakończony:

Jako przedstawicielka starych, demokratycznych państw, których zasady wolności spoczywają dzisiaj na niewzruszonych podstawach Komisja Międzynarodowa zapewni Wam prawo swobodnego decydowania o swym losie, które zostało Wam uroczysto przyznane.

Wszyscy krajanie, którzy zachowali w pamięci nader smutne zajścia podczas przygotowań plebiscytowych, czytać muszą dzisiaj wspomnienia o tychto zapewnieniach prawa swobodnego decydowania o swym losie czyli prawa samostanowienia o sobie jako gorzką ironję. Gdzież to bowiem podziwiał się to w tak bardzo uroczysty sposób proklamowane prawo decydowania o swym losie.

Bandytyzm kilku księży, prawników i nauczycieli a potem pozakulisowe szachrajstwa spowodowały, że do plebiscytu nie doszło, że o losach naszych zadecydowano z ignorowaniem życzeń ludności i stosunków ekonomicznych. Panowie Manneville, Wilton i Borsarelli nigdy danego nam przyrzeczenia w równie uroczysty sposób nie cofnęli. Tęż ludność i dziś jeszcze od państw tych mogła się domagać dotrzymania danych publicznych przyrzeczeń. Ale ludność tak księstwa Cieszyńskiego jak i innych krajów przekonała się od czasów tych, że podobnym przyrzeczeniem wierzyć nie można, że w świecie dzisiejszym panuje pięść i podstęp, nie zaś prawda i sprawiedliwość.

Wobec takich potęg, jakie onego czarnego dnia 28. lipca 1920 r. o losie naszym zadecydowały, jesteśmy bezbronnymi. Pozostaje nam na razie odwoływanie się do poczucia sprawiedliwości przyszłych czasów, może też i przyszłych pokoleń.

Domagaliśmy się: Niepodzielności i samorządu! Przyrzeczono nam, ale nie dotrzymano. Dziś każdy widzi skutki podziału kraju, widzi, jak wy-

gląda samostanowienie Ślązaków o sobie. Żadna potęga w świecie nie jest w sianie wypłenić z umysłu i uczuć naszych poczucia doznanej ciężkiej krzywdy. Poczucie to podtrzymywać będziemy z pokolenia na pokolenie aż kiedyś Opatrzność Boska naprawi na Ślązakach, co zawiniли „przedstawiciele starych, demokratycznych państw” za rozkazem Francji. Wszak właśnie dzisiejsze pokolenie doznało jak trafem jest słowo, że dziwne są i niezbadane drogi Boskie.

O CZEM SOBIE NASZ LUD ROZPROWIO

Jak tak mom czas, to se stanę do dwierzy, dziwa se na ludzi i porównuję ich z ludziami przedwojennymi. Są to zgoła ty same gzychty aż na pore z tych młodszych, a jednak co za różnica między downiejszymi a dzisiejszymi. A nejbardzi tóż już baby a dzieuchy.

Czechmon im poświecił chytać se mody wszystkimi rękami i nogami, a zatracać nasz piękny śląski strój. Suknie popurły a chodzą w jakichsi mieszkach w których se poście odznaczają aż strach. Kroku porządnego w tem nielza zrobić a jakby tak troche sturzył do dziewucliy, toby se wycebuliła. Na boku mieszek rozpruty aż kajsi po pas a jak wialer fuknie, to widać giczale aż tam kaj z grzbietu wylazują. Kiejsi przed Wojną świat by powiedział, że to jakosi szupa i pluły aż hruza ale dzisiaj to każdy się małpuje. Na nożyśka to wewleczą plugastwa jakąsi pajęczyne a lonciska też więcej pokazują niż skrywają. Łazi taki czupiradło po Saksenberku blade jak śmierć i rozmyślo jakby nejlpejszy głowę jakimu chłopowi zawrócić. Toćby też musieli honem nie mieć nic innego do roboty jak skakać kole takigo patyka z wopna i naostatku brać se to do chałupy. Na dźczy to skreplę, jakby temu kozoł warzechom zamieszać w garcu albo prodo wykręcać; dyc to żyje jeny perfumami mazidłami.

A jeszcze dyby im to choć pasowało. W sukni to choć jako pokrzywno to se to jakosi straci ale jak se przewlecze to taki jakisi straszdyło z kiercho-wa.

Czemu też to u sto djosków rodzice i chłopci nie zakożą laki bezperactwo? Dyby już to choć w mieście, ale aji na dziedzinach na dobrze zapominają na swój śląski strój.

Jak im kiery co powie, to se zaczną szkubać, że suknie dzisio strasznie drogi. Pakaze miljoński, dyby raczy głupie nie plóttły i Suknia zaś potrwo pore roków a ty nowe handry to se za niedługo nie godzi ani na myci dłożki.

A potem prawie ci, co im nie zbywo, furt mają suknie a ci bogatszy to sprawują mieszki, czopki i kaj jaki dziwulki.

Zato ale mom wielką radość jak tak widzę jako to nikiere aż w oczy wpadają w swoich sukniach. Widowuję tu porę takich co są taki gryfne, że aż hej. Chodzą elastycznie i elegancko i zaroz poznać że to nima byleco. A jednak se nie małpią za mieszczanami. A panoczcy, inżynierowie i urzędnicy to tak idą paradnie z nimi jak z jakimi grotkami a na ty straszdyła drugi ani se nie podziwiają. A mają recht. Dyc już aji nikierym paniczkom i freliczkom z miasta sprykrzyła sie ta nowo szimymoda i sprawują se suknie, bo widzą, że przez to bardzi w oko wpadają. A ty nasze trompelki z dziedziny myślą se Bóg wie czem też nie są jak mieszek wdzieją i kudliska obetną podle kasrola jak słowiok.

Byłby czas, żeby se nareszcie kapkę ockły z tej głupoty i zaczęły zaś w sukniach chodzić. Niejedna by nie musiała tak długo czekać na chłopca, bo w tych pajęczykach brzydzą się wszystkim, co chcą se żenić. Taki ty nocznice, o kierych nielza powiedzieć czy są obleczone czy sągi, to tak jeny mają na zobowkę, a jak se pograją z nimi to ani słyszeć o żeniaczce.

Ani se wierzyć nie chce, że to już 10 років, jak se wojna zapoczęta a 4 jak nom nasz kraj roztargali, jak jaką starą handrę. 10 років już człowiek biedaczy i nielza se jakosi wychachrać a tu furt jakosi nie pokazuje na lepsze. Ciągłe przednowek, w kapsie egipsko ciemność, ale przeca jeny lepszy, jak wtedy, kiej stare drzewiane chałupy mieli a chleb z nich robili, albo jak człowiek każdy dzień 99 razy przekliñoł linje demarkacyjną.

Je prowda dzisio na granicy też furt robią jakisi złońnictwa, tak że człowiek absolutnie nimoże zapomnieć na te komisye plebiscytnią, kierej bezmała piątej klepki chybiało.

Oto z tvm nowvm mostem. tobv człowieka ...

Tygodnik "Nasz Lud" redagowany w Czeskim Cieszynie,
porównaj: **Wielki Ślónzak - Józef Koźdoń**
Kopia piyrszyj strony tygodnika Nasz Lud z dnia 26.7.1924
na stronach www.Slonsk.de

WIELKI ŚLÓNZAK - JÓZEF KOŹDOŃ

HONOROWY OBYWATEL CIESZYNA

Część I

J. Koźdoń pozostaje osobą nieznaną, na rozkaz władzy. Jego życie i działalność polityczno-publiczna skupiała się całkowicie na Ślónsku Austriackim a po tragicznym-czarnym dniu 28 lipca 1920 roku, kiedy nastąpiło fatalne rozerwanie tej Wspólnoty Ludzi i Kultury - tego Haymmat cieszyńskiego, już po stronie Czechosłowackiej - I-szej Republiki. Zostaje wybrany burmistrzem Czeskiego Cieszyna w 1923 roku i pozostaje nim aż do polskiego zaboru Zaolzia w 1938 roku.

Koźdoń więcej zbudował tutaj niż paralelnie Grażyński, wojewoda Śląski na całym polskim Górnym Śląsku. Życie miał pracowite i aktywne politycznie. Nie był jednak politykiem rewolucjonistą, powstańcem, czy kierującym się przemocą. Był gotowy zrezygnować z polityki gdy zewnętrzne warunki nie rokowały nadziei na sukces. Wtedy oddawał się pracy publicznej, gospodarczej - dla ludzi. Był synem tej Ziemi - pszoł Cieszyńskiej Ziemi, miał wiele przyjaciół, ale też tłumy nadciągających falami od Galicje wrogów, często poprzez Wiedeń. Dzisiaj jest nieznaną - nawet w Cieszynie, a polscy tzw. patrioci osiadli na Ślónsku i ta garstka patriotów na Zaolziu uważa (ta), iż należało go skutecznie unieszkodliwić (najlepiej razem z żoną). Tę opinię nawet obecnie popiera!? polska "racja stanu" - w tym świeżo np. K. Nowak - Praca Naukowa Uniwersytetu Śląskiego nr



1492 - Katowice 1995 - tytuł: Ruch koźdoniowski na Śląsku Cieszyńskim. Cytuję z tej "pracy" - " *Wydaje się, że błędem polskich działaczy narodowych* (Jan Michejda, ks. Londzin, K. Matusiak, ... - p.a.) *było niezdecydowanie wobec lidera ŚPL*" (Śląskiej Partii Ludowej -p.a.). Słuszność miała Z. Kirkor-Kiedroniowa, że w latach 1918-1920 należało, biorąc pod uwagę polskie interesy na Śląsku Cieszyńskim, Koźdonia raczej na stałe wyeliminować, niż biernie obserwować jego przejście do obozu czeskiego" - Z. Kirkor-Kiedroniowa. Wspomnienia Cz.2. Ziemia mojego męża. Kraków 1988. Podobnie wcześniej Henryk Jasiczek w zaolziańskim "Zwrocie" z 1951 roku już zakładał Koźdoniowi stryczek na szyję i zamartwiał się tym, że po 1945 roku tylko - " *Jeden z pomniejszych 'apostofów'*" Negatywnie ocenia go również J. Golec (ślądem Z. Jasińskiego) w Słowniku Biograficznym Ziemi Cieszyńskiej.

Józef Koźdoń urodził się 8 września 1873 roku w Lesznej Górnjej w chłopskiej rodzinie. Kończył miejscową Szkołę Ludową, a następnie Niemieckie Seminarium Nauczycielskie w Cieszynie w 1892 r. Pamiętajmy, iż jest to Ślónsko najpierw formalnie od Trenczyna i Wyszehradu (1335 rok) przynależne do Czech a potem (od 1526) do Habsburgów. Ślónsk dysponuje w tych stuleciach swobodami i możliwościami podejmowania decyzji jakich porównywalnie żadna ze znanych nam tzw. autonomii nie jest w stanie doścignąć. Król Czech, Jan Luksemburczyk w 1337 roku wydaje we Wrocławiu konstytucję organizacyjno-gospodarczą tzn. ordynację - generalny porządek dotyczący Śląska - a w nim m. innymi; szerokie uprawnienia dla starosty wrocławskiego, podległość rycerstwa księstwa wrocławskiego na terenie Wrocławia sądowi miejskiemu, ograniczenie zakresu władzy sądów kościelnych w stosunku do osób świeckich, ustanowił też drugi roczny jarmark, określił zasady żeglugi na Odrze, wprowadził pewne wolności celne i inne. Przy pewnym porównaniu można przyjąć, iż ordynacja ta sięgała dalej niż tzw. polska konstytucja 3-majowa o prawie pięć! wieków młodsza i nie wprowadzona zresztą do praktyki.

Koźdoń "zastaje" swój Haymmat jako Ślónsk austriacki - od Opawy,

Cieszyna, Frydka, Jabłonkowa po Strumień, Skoczów i Bielsko a Ojczyzną jest C.K. Austria ze stolicą - Wiedniem nad pięknym modrym Dunajem. Oczywiście i zrozumiałym staje się zatem jego stwierdzenie o Odrębności Śląska - w stosunku do Polski - "Ślązak" 18.12.1909 - cytat "Wspólnota języka sama w sobie nie wystarczy do wytworzenia wspólności społecznej, kulturalnej i politycznej co jest oczywiście ostatnim celem Wszepolaków. Dowodem tego najlepszym, że np. Tyrolczyk lub Szwajcar, mówiący językiem niemieckim, nie ma oprócz języka nic a nic wspólnego z Prusakiem" - i dalej - "Nie znał Śląsk ani Jagiełłów, nie znał różnych wybranych królów, nie miał żadnego udziału w upadku państwa polskiego, w następujących powstaniach itd.". Dodani od siebie, iż jest to kraj dwujęzyczny a język polski odbiega znacznie od miejscowych dialektów.

Koźdoń jest ewangelikiem jakich wiele na tej Ziemi, od 1893 do 1898 pracuje w szkole w Strumieniu a później w Skoczowie gdzie od 1902 jest kierownikiem. Żeni się. Poznaje ludzi - ludzie traktują go jak swego bo tu między Wisłą a Olzą jest jego życie. W 1908 roku rozpoczyna działalność polityczną. Zostaje wybrany do Śląskiego Sejmu Krajowego w Opawie - "tutaj" Śląsk ma już swój Sejm od 1850 roku! Na pierwszym posiedzeniu 28.12.1909 roku Koźdoń wybrany jest do wydziału gospodarczego, spraw wojskowych i publicznego bezpieczeństwa. Do sejmiku Krajowego wybrany też zostaje dr Jan Michejda razem z księdzem Londzinem, ks. Świeżym i całym zastępem pozostałym Michejdów - też ewangelików niektórzy są pastorami, określani są łącznie jako działacze "Michejdałandu" - Franciszek, Jan, Karol, Oskar, Paweł, Tadeusz, Władysław i działają w "Sokole", "Macierzy" i szeregu innych związków. Wprowadzają na tę Ziemię obcą kulturę Jagiellono-grunwaldzką. Wojskowi dowódcy tu działający - Matusiak, Latinik pochodzą z Galicji - Oświęcim, Tarnów. Są i inni tzw. "budziciele" - ks. Stojalowski, Dobija. Wszyscy wymienieni wyżej, wcześniej składali deklaracje obywatelstwa austriackiego, nosili mundury armii austriackiej. Grupa ta odgrywa tutaj taką samą rolę jak Korfanty, Zgrzebniok, Brandysowice (ks. Wolny, Witczakowie, Mielżyński i głównie dyktator Grażyński na Górnym Śląsku).

Koźdoń ma więc przed sobą solidny "Michejdałand" przeciwników wspomaganych na razie ekonomicznie a później i zbrojnie poprzez Kraków i Warszawę. W połowie lutego 1909 roku ukazuje się pierwszy numer gazety tygodnika ruchu Koźdonia, "Ślązak" - Gazeta Ludowa Organ Śląskiej Partii Ludowej. Masową bazą zwolenników Śl. P. Lud. był niepolityczny Śląski Związek Ludowy założony w 1910 roku z prezesem w osobie J. Koźdonia i siedzibą w Cieszynie. Zebranie założycielskie 2 lipiec 1910 - obecność 100 osób zgodnie z prawem C.K. Austrie - Ślązak 9 lipiec 1910. Związek liczy też wkrótce 30 oddziałów i ponad 2 tys. członków. (W 1934 roku - po oderwaniu części wschodniej cieszyńskiego po stronie Czechoślowskiej związek będzie miał jeszcze 3552 członków w sekcjach polskiej i niemieckiej. W części polskiej Śl. Cieszyńskiego jest zakazany, a "Ślązak" od 1923 roku zamienia się w "Nasz Lud" o znikomym zaangażowaniu politycznym).

Ukazanie się "Ślązaka" kompletnie wyprowadziło Michejdowskich Wszepolaków z równowagi. Michejda zapowiada "walkę ideową". Nie zwleka, i jak to wygląda w praktyce przedstawia zamieszczony "kseropis" z "Ślązaka" nr 9 z 10 kwietnia 1909 roku.

Atmosfera tamtych lat: Cieszyn był na przełomie wieków i do I-szej wojny światowej miastem światowym, ulice oświetlone lampami gazowymi a od 1910 światło elektryczne, w 1911 roku rusza tramwaj od Hbf-Bahnhof (Czeski Cieszyn) - Długi Most (Przyjaźni), Głęboka, Rynek, Wyższa Brama. Cieszyn jest miastem otwartym na świat, działa tu prawie 200 stowarzyszeń na 20 tys. ludności. Są kościoły katolickie i ewangelickie jest "Dom Śląski" w dawnym hotelu "Pod Złotym Wołem", jest hotel "Pod Brunatnym Jeleniem", jest "Cafe Zentral", jest Józef Koncza-kowski handel żelazem w Cieszynie - cesarsko i królewski nadworny dostawca, jest i C i K fotograf nadworny H. Jandaurek, jest, jest ... Są - byli, historycy Gottlieb Biermann-Geschichte des Herzogthums Teschen (1863 i 1894)-(gotykiem) i Authon Peter. Miasto żyje z handlu i dogodnego położenia. Żyje Wzgórze Zamkowe. Są piekarze, masarze, kilkadziesiąt! szewców, fryzjerzy, aptekarze, kilkadziesiąt restauracji i szynków ale gorzałę sprzedaje się w putykach na obrzeżach miasta. Miastem zarządza Rada Miejska wybierana na 3 lata, która wybiera spośród siebie kilkusobowy Zarząd na czele z Burmistrzem. Od 1861 r., są to dr Jan Demei, potem jego syn dr Leonhard Demei (od 1892) i dr Rudolf Bukowski od 1908-1913. W tym okresie miasto nabiera obecnego kształtu (i niestety tak właściwie zastyga). Od wieków funkcjonuje system wodociągowy i kanalizacja. Jest 8 drukarni i tyleż wydawnictw. Od 1860 r. wydawana też jest niemieckojęzyczna "Silesia" (Tageblatt) - gotykiem. Na Wyżnim

Rynku jest też fabryczka instrumentów smyczkowych Krywalskiego oraz fabryka zegarów wiedeńskich Jana Frankę. Cieszyn nazywany jest małym Wiedniem. Takt życia nadaje stacjonujący tu regiment obrony terytorialnej nr 100 oraz pułki liniowe piechoty stacjonujące w nowych koszarach na Małym Jaworowym zbrocu łącznie prawie 2000 wojskowych. Cieszyn odwiedza też okresowo sam Cesarz Franciszek Józef I, a w cieszyńskim garnizonie od 1890 r. odbywał służbę arcyksiążę Eugeniusz. Regularnie koncertuje orkiestra wojskowa. Długo możnaby wymieniać fabryki, instytucje kultury itd. małym przykładem może być też fragment ogłoszeń reklamowych zamieszczony w przedstawionym "Ślązaku" z 10 kwietnia 1909 roku oraz zdjęcie Rynku cieszyńskiego po 1911 roku.

Tymczasem mamy lata przed I-szą wojną światową. Jest rok 1912. Koźdoń nie jest tuzinkową postacią - wyczuwa zagrożenia przyszłości - przykładem może być "Mowa posła Józefa Koźdonia wygłoszona na 20 posiedzeniu XLIV sesji Sejmowej w sprawie szkoły sibickiej" - jak określa sam - odpowiedź na... "wybryki drą Michejdy" z poprzedniego dnia w Sejmie.

Sprawa dotyczy oświaty - głównie nauki języka niemieckiego. Narodowcy (Michejdowcy) zarzucam! Koźdoniowi popieranie nauki tegoż języka, gdy równocześnie sami byli biegli w tymże języku zajmując dzięki temu lukratywne stanowiska i wpływy w Krakowie i Lwowie a również w samym Wiedniu! ("Ślązak" 6 kwietnia 1912) - jest to też jakby nawiązanie do "Kilka słów programowych od Redakcji" - "...To wpływy we Wiedniu" - Ślązak Nr 1 1909 rok.

Lata następne to lata pracy i odpierania prostactkich zarzutów "Gwiazdki" Michejdowskiej na łamach "Ślązaka", też sprawozdania z zajęć Sejmu Krajowego - przykład "Ślązak" z dnia 14 lutego 1914 rok. Nakład "Ślązaka", stały -4 tys. egzemplarzy świadczy o sporej roli pisma tygodnika.

Dochodzimy do wypadków w Sarajewie, kryzysu wojennego i rozpadu c.k. Austrie. Jest to okres bardzo bolesny dla Koźdonia i Ślązaków. Szczegóły wymagałyby oddzielnego opracowania. Śląsk Austriacki jest targany na dwie strony - Polacy i Czesi. Regulatorem są głównie Francuzi. Koźdoń chciałby neutralizacji Śląska. Francuzi nie chcą o niej słyszeć, podobnie jak wymienieni Polacy i Czesi. Ostateczne decyzje podyktują Francuzi w Wersalu.

Tymczasem na miejscu trwa zjadła walka. Koźdoniowcom pozostaje tylko "Ślązak", Polacy już są zorganizowani zbrojnie, podobnie i Czesi. "Ślązak" jest cenzurowany a bywa i konfiskowany jako pismo "anty państwowe" - cenzorem jest K. Matusiak z Galicji, później uczestnik przewrotu wojskowego w garnizonie cieszyńskim, bezwzględny w walce ze Ślązakami - m. innymi wiesz czterech Ślązaków w Pierścicu - "Ślązak" 15.5.1919. Wcześniej pod sfingowanym zarzutem 30 listopada 1918 roku Koźdoń zostaje aresztowany za "podburzanie ludności przeciwko władzy Rady Narodowej" w Cieszynie (Jan Michejda, ks. Londzin, T. Reger, P. Bobek, K. Matusiak, Latinik). Oto co sam pisze już po tymczasowym zwolnieniu i faktycznej ucieczce na stronę Czeską - cytuję, "Rada Narodowa postanowiła traktować mnie jałc zwykłego zbrodniarza, a w tym sędziu Lukasię znalazła dowolne narzędzie do swoich zamiarów. Wtrącono mnie przeziębłego do zimnej nieogrzanej komórki. Lekarza przysłano mimo powtarzanych i usilnych próśb dopiero w dzień dziesiąty. Pozwolono na wikt prywatny, gazet czytać nie było wolno. Odmówiono mi też, bym się mógł porozumieć z moim zastępcą prawnym" - później został przewieziony do Krakowa - aresztowano też żonę i osadzono w obozie w Dąbie pod Krakowem, chociaż nigdy nie grała udziału w życiu politycznym, więc o to Koźdoń szczególnie miał żal. -Ślązak 22 luty 1919 rok. W obronie Koźdonia interweniowali u władz polskich Niemiec posłowie: dr Bukowski, dr Ott oraz Zwilling, a także przedstawiciele czeskiego Narodniego Wyboru.

W końcu J. Michejda i Latinik decydują się na tymczasowe uwolnienie z wiewienia-oboza 28 grudnia 1918 roku. Natychmiast, w obawie o życie w Cieszynie Koźdoń przenosi się do Morawskiej Ostrawy. Stąd przy pomocy wydawanego już na miejscu "Ślązaka" próbuje jeszcze wpłynąć na decyzje w sprawie Śląska.

O tej prawdziwej trosce Koźdonia o Jego Śląsk i Ludzi najwymowniej świadczyć może stanowisko Śląskiej Partii Ludowej w sprawie przynależności naszego kraju - z konferencji delegatów 8 luty 1919 r. a opublikowane w "Ślązaku" z 22 luty 1919 roku, które to stanowisko chciałbym tu przytoczyć w całości. Koźdoń chciał należeć do świata kultury Zachodu! razem ze Śląskiem Cieszyńskim!

- **Śląska Partia Ludowa w sprawie przynależności naszego kraju** - Konferencja delegatów naszego stronnictwa zatwierdziła na posiedzeniu dnia 8 b.m. memoriał, który deputacja nasza oddała na posłuchaniu dnia 15 lutego Komisji ententy w Cieszynie. Memoriał ten kończy się

następującym ustępem:

"Co więzami przyrodę spojone, tworzy odkąd świat stoi, geograficzną i gospodarczą nie-rozdzelną całość i jedność, co kilkawiekowy spoiny historyczny rozwój złączył w całość organiczną, tego dla chwilowych dążeń politycznych niech nie dzieli nie rozrywa ręka ludzka. Tworzyliśmy mimo różnic językowych spójność kulturalną i gospodarczą a w niej trwać chcemy i nadal. Utraciliśmy ojczyznę Austrię, nie chcemy utracić też i spornej nam i drogiej kolebki kraju rodzinnego. Miłość i przywiązanie do wspólnej tej kolebki naszej, miłość do ludu kraj ten zamieszkujący - idzie nam nade wszystko. Czując się kością z kości i krwią z krwi jego, chcemy zachować cechy swej plemiennej odrębności jak najdłużej. W rozdzielaniu pod dwa państwa grozi nam rozsypka i zanik; tworząc jedność i całość i nadal skuteczniej się opierać będziemy mogli wpływom obcym; skuteczniej bronić możemy i zachować, co nasze. Przeto żądamy:

Niech Śląsk Cieszyński pozostanie niepodzielony

Najraczej widzielibyśmy w myśl hasła naszego: "Śląsk dla Ślązaków"! by kraj nasz tworzył samodzielną republikę pod ochroną Związku narodów. Tego też się w pierwszym rządzie domagamy. Gdyby światowa konferencja pokojowa uznać miała, że plan taki nie może być urzeczywistniony, w takim razie z powodów wyłuszczonego prosimy:

Niech kraj nasz, niech Śląsk Cieszyński przyłączony będzie wcieleniem jego do republiki czeskiej, do świata Zachodu i do kultury zachodniej, wszakże z następującymi zastrzeżeniami

a) Niech Ślązak pozostanie czem jest, czem był od wieków, niech wolno mu będzie wyznawać w przyszłości swoje credo bez ucisku, bez przymusu. Niech na wolnej Śląskiej glebie panem jest wolny syn tego kraju: wolny Ślązak!

b) stosunki narodowościowe niech będą uregulowane na zasadzie zupełnej autonomii narodowościowej, która sięgać ma aż do uszanowania woli pojedynczego indywiduum. Przy tem, należy uwzględnić i zachować szczególnie i odrębne stosunki tego kraju, jego odrębność polityczną i kulturalną w ten sposób, że kraj nasz tworzyć miałby osobną prowincję z daleko zakreślonym samorządem.

c) Przy obsadzaniu posad w urzędach i szkołach uwzględniać należy w pierwszym rządzie ludność tutejszą. Pod szczególną opiekę przyszej

władzy stawia się: pielęgnowanie i zachowanie wszystkich objawów odrębnej krajowi i ludności jego właściwej kultury. A tak niech narzecz ludności pozostanie w uszanowaniu, niech obyczaje i zwyczaje ludu naszego nie będą naruszane, niech władza zachowaniu charakterystycznego stroju ludu wiejskiego, jak i innych zabytków i objawów historycznego rozwoju Ślązaków udzieli swojej gorliwej opieki".

Memoriał był ocenilibyśmy wzniosły ale Koźdoń zdawał sobie sprawę, że komisja międzynarodowa przybyła do Cieszyna 12 lulego 1919 roku będzie zwracać uwagę na rozwiązania praktyczne i naciski polityczne zainteresowanych stron. Nie musi być aprobaty na poszczególne projekty ze strony wszystkich członków komisji.

Członkami komisji są: Grenard - Francja, Coulson - Anglia, Tissi - Italia i Dubois - Stany Zjednoczone.

W kwietniu 1919 roku Grenard wysuwa propozycję granicy mającej przebiegać linią działu wodnego pomiędzy Wisłą a Olzą. Pozostali członkowie Komisji proponowanych utworzenie ze Śląska niezależnego państwa pozostającego pod ochroną Ententy. E. Beneš na początku wiosny 1919 roku podczas rozmów z polskimi dyplomatami w Paryżu proponował granicę na górnej Wiśle. Polacy zaś domagali się całego Śląska bez powiatu frydeckiego. Kompromisowa propozycja Beneša była zbliżona do obecnego przebiegu a poparł ją Masaryk. Niemcy w Ostrawskim i na Śląsku Cieszyńskim w porozumieniu ze Śląską Partią Ludową pod kierownictwem J. Koźdonia domagali się, aby utworzyć z przemysłowego terytorium odrębne neutralne państwo, z tym, iż Koźdoń nie chciał dzielenia Śląska i ograniczania go do przemysłowego centrum. Były projekty połączenia z Górnym Śląskiem. Tym planom zdecydowanie z Komisji był przeciwny Francuz i podobnie w Radzie Najwyższej w Wersalu. Były też i inne propozycje. Wobec braku ugody w sprawie granicy. Rada Najwyższa w Wersalu podjęta decyzję 11 września 1919 potwierdzoną 27 września o przeprowadzeniu plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim. Była to decyzja dla Koźdonia właściwie korzystna - mógł liczyć na sukces. Ale do plebiscytu jeszcze daleko.

Ewald Bienia

(Nov. 2000, z www.Slonsk.de)

DZIEŃ ODSŁONIĘCIA POMNIKA FRYDERYKA WILHELMA VON REDENA W CHORZOWIE

**Dzień 6. września 2002 roku rozpoczął się w
Chorzowie ciekawie**

Właśnie co ustalaliśmy sposób współpracy pomiędzy Muzeum w Chorzowie i Uniwersytetem Oldenburg w organizowaniu wspólnych historyczno-kulturalnych wystaw. W tym do wejścia muzeum zbliżyła się liczna grupa osób, dystyngownie ubrana, spoglądając z zaciekawieniem na muzealne otoczenie. Na okoliczność odsłonięcia pomnika Fryderyka Wilhelma Hrabiego von Reden (1752 - 1815) w muzeum czynna jest bardzo interesująca wystawa. Zaciekało mnie, dlaczego jeszcze do tej pory nie było żadnych zwiedzających, a była już godzina 11.00 - gdy w tym, uśmiechy na twarzy zbliżającej się grupy, z ich szeptami, wyjaśniła mi sytuację. Obecna pani dr. Idis B. Hartmann z Oldenburga jest bliską znajomą przybyłej grupy osób, tak skojarżono i mnie.

Rodzina dzisiaj honorowanego wielkiego Ślązaka, Fryderyka W. von Redena wraz z przyjaciółmi została zaproszona przez Urząd Miejski Chorzowa do zwiedzenia tej interesującej wystawy. Po powitaniu z dyrektorem muzeum panią Ireną Białas, wpadły sobie w objęcia panie von Reden z panią dr. Idis B. Hartmann, która tu nie z ramienia uczelni oldenburskiej, a raczej przyjaciela domu von Reden przybyła na tak ważny moment rodzinnego uhonorowania, jaki mieszkańcy Chorzowa zgotowali im właśnie dnia 6 września 2002 roku.

Obok rodziny von Reden - Arnd i Helgard, Ulrike, Wilbrand, Alexander Sixtus i Michaela, Alexan-der i Claudia, Gisela i Eckhard von Bock und Polach, znajdowało się też małżeństwo G.F.Grundmann.

Prof. Friedhelm Grundmann reprezentuje w tym zespole osobę swojego pra-pra-dziadka, Friedricha Wilhelma Grundmann (1804 - 1887). Dla uzupełnienia należy dodać, iż kiedyś F.W. Grundmann, generalny dyrektor zakładów Franza von Wincklera i H. Tiele-Wincklera reprezentował w

imienu niedawno zmarłego Franza von Wincklera, inicjatora pomnika von Reden przy jego odsłonięciu na wzgórzu Redena w 1853 roku, gdzie w otoczeniu osobiście przybyłego króla Prus, Fryderyka Wilhelma IV., wielkiego mecenasa kultury, wygłosił okolicznościowe przemówienie.

Jak wynika z listy gości zagranicznych, nie licząc Generalnego Konsula, pana Dr. Ohr, byliśmy wszyscy, i to właśnie teraz zgromadzeni w Muzeum Chorzowskim, którzy reprezentowali stronę honorowanej w tym dniu osoby. Żadnych polityków z zagranicy, żadnych z BdV albo L-OS, tylko rodzina o zawodach architektów, ekonomistów, prawników, nauczycieli i lekarzy, nie licząc mnie, autora artykułu - czysto sympatyzującego z wszystkim, co przynosi Śląskowi chlubę. Do ciekawostki należy też fakt, iż żadna z osób przybyłych z zagranicy nie przybyła oficjalnie, jak na delegację (jak to zawsze robili „Landmannschafty”), a z czysto prywatnym spotkaniem się z miastem, jego władzami, miłośnikami i mieszkańcami miasta na okoliczność śmiałego przedsięwzięcia - trzeciego odsłonięcia pomnika ich przodka.

Tu w muzeum miałem po raz pierwszy możliwość poznania wielu z rodziny von Reden. Zналиśmy się właściwie już trochę, ale tylko przez dotyk tasterury w listach e-mailowych, listach zbliżających nas coraz bliżej, aż do spotkania właśnie w ciekawym, pełen przedsięwzięć związanych z tradycją tej Domowiny - w Chorzowie. Wspaniałe muzeum, troska społeczeństwa, zakładów a szczególnie władzy miasta na tym terenie zaimponowało każdemu.

W czasie godzinnego pobytu w muzeum zobaczono zgromadzone ekspozycje, makiety, mapy, miniaturki pomników z dawnego, i nie tylko Chorzowa lat XVIII i XIX wieku - obraz niesamowicie ogromnej, jak na tamte czasy, pracy twórczej Fryderyka Wilhelma von Reden. Nie każdy ma wyobrażenie w jakich warunkach pracował Reden - bez telefonu, komunikacji miejskiej, tylko na koniu, często sam galopujący z miasta do miasta - aż do utraty zdrowia! Naprawdę poleca się każdemu tę, powtarzam - interesującą wystawę, szczególnie młodzieży szkolnej, mogącej sobie wyrobić wyobrażenie tamtych czasów, w otoczeniu ze zmaganiem nie Prusaka F.W. von Reden wówczas w Prusach śląskich.

Następny etap zwiedzania to pobliski placyk na którym od wielu lat ozdza-

bia okolicznościowa rzeźba Teodora Kalide, rzeźbiarza z Chorzowa - „Chłopaka z łabędziem”. Autorem pomnika Fryderyka W. von Reden z 1852 roku był właśnie Chorzowianin Teodor Kalide.

Dalej przejazd obok Huty Kościuszko, kiedyś dzieło Redena „Königshütte”, aż do przejazdu na wzgórce Redena, gdzie kiedyś stał od 150 lat, patrząc na dymiące kominy, stanowiska pracy nie tylko Górnolazaków, ale i przybyłych ze Wschodu Polski - Polaków - za chlebem i wolnością, w ucieczce przed carem rosyjskim, ciemiejącą i nękających Polaków. Ciekawostka następna - tak oddany człowiek Śląskowi, Reden został przez króla, w czasie okupacji napoleońskiej zwolniony ze stanowiska zarządzającego przemysłem, jak i wykluczony z encyklopedii - i to przez to, że chciał ratować kopalnie przed zalaniem wodą gruntową, huty przed wystygnięciem wielkich pieców. Grabiono i plądrowano przez żołnierzy francuskich, jak i Polaków pracujących już u „Redena”, którym obiecano nową Polskę przez Napoleona.

Po wzmocnieniu się małą, czarną kawą w sąsiedniej kawiarence, budynku ratuszowym, zaproszono wszystkich gości na przejazd - w zaprzęgu konnym po Parku Kultury i Wypoczynku. Podziwu było co nie miara, goście z zadowoleniem podziwiali pluca śląskie, tak potrzebne zapracowanemu ludowi.

I mnie zakreśliła się łezka w oku, przypominając sobie moich rodziców i nas czworga wówczas dzieci w roku 1955-ym - z pamiątkowym zdjęciem przy Ogrodzie Zoologicznego tego to parku.

Z dobrym nastroju wróciliśmy do Chorzowa, by w towarzystwie prezydenta miasta, radnych, związkowców, władzy Związku Górnolazkiego, historyków śląskich, RAŚ czy spozorów udać się w przemarszu przez miasto na Plac Hutników, gdzie zebrały się tłumy Chorzowian, z pobliskich miast sympatyków Redena czy z karkonoskiego Bukowca i Tarnowskich Gór. Poczty sztandarowe powiewały z daleka, w rytmie muzyki śląskich piosenek ludowych kroczyliśmy dumnie pod pomnik.

Nagle, już bliżej - wielkie zdziwienie, szczególnie dostojnych gości, krewnych Redena. Przed pomnikiem i otoczeniu 10 metrów - stojący nieruchomo, jak by wrosli w ziemię, to identyfikująca się grupa pod nazwą KPN - Konfederacja Polski Niepodległej-Ojczyzna, czytamy na jednym z transparentów, celowo zasłaniających cokolwiek pomnika z napisami w języku polskim.

Thumacząc jednemu z orszaku - że to partia polityczna, wykorzystująca jeszcze z czasów walk z okupantem w czasie ostatniej wojny - symbol tamtych czasów heroicznej walki o wolność z hitlerowskim okupantem w Polsce - kotwica zjednana z literą P jak Polska. Od razu kojarzyła mi się gimnazjalna literatura lat wojennych - jak inaczej interpretowany był wówczas ten symbol w porównaniu do dnia dzisiejszego.

Piękną muzyką śląskich pieśni, wokalnemu zespołowi młodzieżowemu ucichła. Najprawdopodobniej był to zespół „Dąbrowszczaków”, wspólnego, znanego w świecie zespołu studenckiego Uniwersytetu Śląskiego, czy też Miejskiego Domu Kultury w Chorzowie, w pięknych strojach śląskich (w jakich i ja występuję, też jak i oni tańcząc i śpiewając śląskie pieśni po drugiej stronie Odry). W tym pomyślałem - jak by to pięknie wyglądało, młodzi artyści w kolorowych, śląskich strojach ludowych tuż przy pomniku, nie z tyłu, mało widoczni dla publiki.

Na przeciw trybuny honorowej łopotały piękne sztandary z trójkami stojących przedstawicieli chorzowskich górników, hutników, związkowców, Stowarzyszenia Górnolazaków z herbem Silesii Superior, czy św. Jadwigi Śląskiej - Związku Ślązaków. Nie zwracając uwagi na bojkotujących, traktując ich jak powietrze, zaczęła się część oficjalna.

Kolejno przemawiali: Ryszard Liczba, miejscowy nauczyciel, przewodniczący Miłośników Chorzowa, główny inicjator realizacji pomnika, dalej prezes Huty „Kościuszko” - Krzysztof Laskowski, prezydent miasta Chorzowa Marek Kopel, miejscowy proboszcz ks. dziekan Antoni Klems.

Z rodziny Fryderyka Wilhelma hrabiego von Reden, przemawiali Arnd von Reden z Wirtembergii oraz w języku polskim z pozdrowieniami i podziękowaniami Austriak Alexander Sixtus von Reden.

W otoczeniu przemawiających przecięcia szarfy dokonały władze miasta Chorzowa na czele z prezydentem miasta Markiem Kopelem.

Zespół pieśni i tańca śpiewał śląskie nam znane na tym terenie pieśni, gdy stojące „mumie” roboty, powiedziałbym, tonowali konkurencyjnie przez nagłośnienia ręcznych megafonów, dla zagłuszenia i bojkotowania, swoje jakieś pieśni, chyba z lat przedwojennych.

Powiedzmy jako obserwator zewnętrzny, muszę stwierdzić wielki nietakt ludzi zachowujących się istotnie jak roboty zdalnie strowane, lub pionki na szachownicy, przemieszczane przez dwóch wyróżniających się z grona „robotów”. To podchodzili oni do jednych robotów to do drugich, wy-

dając im rozkazy gdzie aktualnie się przemieścić i gdzie bojkotować najskuteczniej - zasłaniając sztandarem, zagłuszając megafonem, lub w nagłym ruchu sztandaru z kotwicą odtrącać uwagę rzeczy ważniejszych. Jak zmieniło się interpretację tego symbolu kotwicy walczących młodych Polaków o wolność swojego kraju, ile heroizmu tamtych lat, beszczeszczą dzisiaj w naiwnych ich działaniach i to w przededniu przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

Szczytem nieprawości tych bojkotujących, na rozkaz tych dwóch „prowodyrów” było wdrapanie się jednego z „robotów” na pomnik Redena wysuwając biało-czerwony sztandar, i zasłaniając sobą postać Redena - bez patosu panowie szlachta, robicie jak chcecie, myśląc, że w nowej wolności i demokracji wam danych przez innych, możecie bezgranicznie robić co wam się podoba. Powiedzmy sztandar w barwach biało-czerwonych - no dobrze - Fryderyka Wilhelma von Reden barwy w herbie są również biało-czerwone, ale bezprawne wejście na pomnik, własność mieszkańców, dokonana przez jakiegoś obcego w Chorzowie osobnika, to już za dużo. Śledziłem wyraz twarzy artysty rzeźbiarza Augusta Dyrdy z Tychów, jak reagował na zuchwałę czyni nierozważnych. Samemu i mnie zrobiło się też, jak wielu zebranych przed pomnikiem - niedobrze, niesmacznie. Ale właśnie taki mieli cel, bojkotujący KPN-owcy zepsuć co dobrego się robi na Śląsku - wielowiekowa chęć niszczenia co z tej ziemi pochodzi. Takie też skłonności przeciw Śląskowi wyczuwało się wielokrotnie.

Podziwia się spokój mieszkańców Chorzowa i z innych miast przybyłych na tak doniosłą uroczystość.

Nikt nie uczył ich formalnie co to jest tolerancja i czym ona się charakteryzowała na Górnym Śląsku - mają to Górnolazacy we krwi, gościć i szanować przybywających do tej ich „krajny przychodzących” ale i szanować odchodzących, gdy mieli ku temu powody w dalszym się kształceniu, lub za chlebem odchodzących w czasach kryzysu.

Jak ponizający był moment dla publiki górnolazkiej - w sytuacji gdy jeden z „prowodyrów”, przyprowadził dwóch, o wyrazach twarzy surowej i groźnej policjantów, kierując się do publiki, i szukając kogoś, rzekomo wypowiadającego jakieś słowo z ostatniej wojny - wyglądało to na to, jakoby władze policji prowodyrom tu służyły, a nie prawości tego miasta.

Tak źle interpretowana wolność i demokracja ma niestety w Polsce miejsce, wiele jeszcze nie kontrolowanych - nacjonalistycznych ruchów torpeduje kroki przejścia do Europy, jak nacjonalistyczna jest jeszcze oficjalnie Polska, bo przecież KPN to oficjalna partia polityczna - w jakie miesza się, i jakimi metodami dąży do celów, bo i kiedyś były to cele chlubne.

Gwoli ścisłości - Reden to żaden Prusak, jak nazywały go transparenty - to Saksończyk z krainy, z których wywodzą się też dobrzy polscy królowie. To Saksończyk, który za pomoc Śląskowi w efekcie końcowym został wykluczony przez króla z rządu, i do dzisiaj z encyklopedii niemieckiej.

Z dumą nosił i utożsamiał się z imieniem Ślązaka, na ziemi tej osiadł opuszczając jego Heimat Hameln nad Wezerą, przyjmując małą ojczyznę pod Karkonoszami, i tu też został pochowany.

„Przystąpcie bliżej Jego grobu, Jego, człowieka genialnego, Który także Wam był bliski,

Zachowajcie jego grób, nieiskażony, Jego, człowieka o dobrym sercu, Bo on był Waszym bratem”.

Mądrość mieszkańców Chorzowa zwyciężyła, na prowokujące wystąpienie KPN (wśród nich nie było żadnego z Chorzowa) nie zareagowano, i nie dopuszczono do bojkotu, czy bójki.

Tolerancyjna ludność Chorzowa uczciła swoje, w tym dniu święto - mają znów przy sobie postać, która kiedyś dawała im, ich ojcom, dziadkom, pradziadkom potrzebną pracę.

Mądrość Górnolazaków dała wiele do myślenia rodzinie Redena - w jakich warunkach „walczyli” w wybranej małej ojczyźnie ich krewny, dla Śląska, ale i dzisiaj zadają sobie pytanie - jak z takimi nacjonalistycznymi elementami, jeszcze funkcjonującymi w Polsce, można starać się o Europę.

Poleca się wszystkim wspaniałą wystawę w Muzeum Chorzowskim na temat Fryderyka Wilhelma von Reden, zaprosić prośbę członków KPN, niech się uczą demokracji i wolności z historii Śląska. Tuszowane śląskie problemy z lat historii tej krainy dają dzisiaj złe owoce, przy byle ważniejszej okazji, krępując ręce władzom, ludowi i praworządności.

Czy nie dobrze by było, powiadamiać wszystkie organizacje, partie, stowarzyszenia, ludność o wynikach i wytycznych różnych ważnych dla Śląska imprez - dla nauki, propagowania, dla poprawienia świadomości Polaków w przededniu wejścia Polski do EU. Prasa śląska czyni wiele w

tym zakresie, wynika z tego, że jeszcze za mało, albo bardziej praworządniej należałoby interpretować wolność i demokrację.

Bo jak wyraził się J.W. Goethe, przyjaciel F.W. von Redena, i za jego przyczynkiem też kiedyś będący na Śląsku - „wolność i demokracja - to coś prostego, ale czynić to zawsze praworządnie” - to tylko urywek mojej książki „Górny Śląsk w barwach czasu”.



Przed pomnikiem Redena - rodzina, urząd miasta, rzeźbiarz, sponsorzy, związkowcy, historycy śląscy, artyści chorzowscy i mieszkańcy Chorzowa

Czarującym słowem dla Śląska jest jedno słowo - jak nazwa sąsiedniej, za miedzą siemianowickiej Huty - „Jedność”. Jedność Ślązaków, ale jak ją uzyskać w tym „tyglu narożnikowym” wielu kultur.

Dzień jeszcze się nie zakończył, po obiedzie na spokojnie pożegnano się z pomnikiem. Teraz dopiero można się było doczytać na cokole od frontu napisów w języku polskim, dużymi literami:

FRYDERYK WILHELM
HRABIA
REDEN

23.III.1752 - 3.VII.1815

z lewej strony widnieje:

ZASŁUŻONEMU
DLA ROZWOJU PRZEMYSŁU
NA ŚLĄSKU
SPOŁECZEŃSTWO CHORZOWA
-*

z prawej strony:

ODSŁONIĘTO
W 250 ROCZNICĘ
URODZIN F. W. REDENA
I 200 ROCZNICĘ
URUCHOMIENIA
HUTY KRÓLEWSKIEJ
-*

z tyłu cokołu:

RZEŹBĘ
TEODORA KALIDEGO
Z 1852 ROKU
ZREKONSTRUOWAŁ
AUGUSTYN DYRDA
W 2002 ROKU

Zakończyło się tym sposobem trzydniowe sympozjum poświęcone Fryderykowi Wilhelmowi von Reden, z pierwszym dniem w Hucie „Batory” - „Zasługi F. W. Redena dla hutnictwa śląskiego”, w drugim dniu, w muzeum - „F. W. von Redena i jego zasługi na Śląsku” z wieloma ciekawymi odczytami polskiej nauki w tym temacie. Trzeci dzień - właśnie dobiega końca - dzień odsłonięcia pomnika F. W. von Reden.

Pożegnaliśmy się i my z rodziną von Reden.

Jedni udali się do Krakowa, Katowic, Pszczyny a inni do Tarnowskich Gór, zwiedzając muzealne pozostałości człowieka genialnego dla całego Śląska.

Poleca się w tym miejscu - „Sztolnię Czarnego Pstrąga”, i „Kopalnię Zabytkową Rud Srebrno-nośnych” - pielęgnowane przez Koło Miłośników Ziemi Tarnogórskiej.

Czy przyjadą jeszcze kiedyś Redenowie czy Grundmannowie do naszej pięknej krainy Górnego Śląska? Zobaczymy.

Mamy jednak nadzieję, że w swoich miejscowościach: w Hameln, Mühlacker, Weinheim, Bennigsen, Bonn, Erkrath, Kaltenleutgeben, Leipzig i Hamburgu będą dawali pozytywny obraz dzisiejszego Górnego Śląska.

Przedstawiciel rodziny, Arnd von Reden w swoim przemówieniu na zakończenie powiedział:

„Obecnie rodzina von Reden, która nadal żyje i pracuje w swych posiadłościach w rodzinnym Hameln w Dolnej Saksonii, wzruszona i pełen wdzięczności za pielęgnowanie pamięci ich sławnego przodka prosi pana o przyjęcie za moim pośrednictwem kopertę zawierającą określoną sumę umożliwiającą pokrycie chociażby w części kosztów ustanowienia tego pomnika, ale również jego pielęgnację i konserwację w przyszłości. Wszystkim tutaj zebranych a w szczególności tym, którzy się aktywnie przyczynili do ustanowienia pomnika Fryderyka von Reden w imieniu społeczeństwa Górnego Śląska, rodziny von Reden z Dolnej Saksonii oraz własnym wyrażam serdeczne podziękowanie.

W ten sposób przyczyniliście się do umocnienia pomostu łączącego narody po obu stronach Odry w imię zjednoczonej i pokojowej Europy.

Dziękuję Wam jeszcze raz za przybycie na odsłonięcie pomnika i stworzenia mi możliwości wygłoszenia tego przemówienia”. Arnd von Reden

Niech wręczony przez prezydenta Miasta Chorzów, Marka Kopela okolicznościowy „Medalion F.W.von Redena” autorstwa chorzowskiego rzeźbiarza, za duży wkład pracy w tym temacie, m.in. dla rodziny von Reden, rzeźbiarza Augustyna Dyrda, sponsorom, stowarzyszeniom - służy przykładem i przypomina chwile, kiedy na Śląsku, czyli na europejskim kontynencie zastosowano najnowsze technologie produkcyjne, a wraz z nimi dawniejszą Hutę Królewską, dzisiaj Chorzów, rozświetlone były na całym świecie. W imię chlubnej tradycji tej ziemi, kontynuujemy ją dalej.

A przetłumaczone przemówienie pana Arnda von Reden z Muehlacker na język polski niech da światło na dzisiejszego wielkiego Europejczyka, Ślązaka i człowieka - ustami krewnego, ducha niewinnego człowieka.

Peter Karl Szczepanek

Członek Europa Nostra, Pan-Europa
BHG-Plessler Land e.V.

PS.

Grupa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej (BHG Plessler Land e.V.)

ma zaszczyt odznaczyć Augusta Dyrdę honorowym medalionem

Mater Silesia (wg Augusta Kissa - *Amazonka*), naszego Stowarzyszenia, za propagowanie domowiny plesskiej, poprzez kontynuację wielkiego mistrza **Theodora Kalide**, na podstawie którego zrekonstruował model zniszczonego pomnika

Friedrich Wilhelm Graf von Reden z 1852 roku:

Rewers medalionu o średnicy 7 cm, z napisem u dołu „Ziemia Pszczyńska”, zaś u góry: „**Dla zasłużonych dla Plesskiej domowiny**”, z wygrawerowanym imieniem: „**August Dyrda**”.

Wokół napisów symbolika identyfikująca tę ziemię, z elementem szybu kopalnianego, młotków górniczych i głowy zubra z rezerwatu w Plessii, wraz z przyozdobieniami gałązek dębowych i kłosów zboża, i można go zobaczyć:

P.K.Szczepanek



Na tle pomnika Redena skupiają się grupy zainteresowanych pamiątkowym zdjęciem - tym razem pani Helgard von Reden, żona Arnda z A. Dyrdą i P. Szczepankiem

ENTHÜLLUNG DES DENKMALS FRIEDRICH WILHELM VON REDEN AM 6. SEPT IN KÖNIGSHÜTTE O/S

Verehrte Anwesende!

Unser Treffen ist für mich etwas Besonderes; lassen Sie mich deswegen bitte das Protokoll umgehen bei meiner namentlichen Begrüßung. Ich freue mich, unter den Anwesenden ansprechen zu können Herrn August Dyrda aus Tychy, der als Bildhauer dieses Denkmal geschaffen hat sowie Herrn Roman Liczba von der Vereinigung der Freunde Chorzów namens Juliusz Ligon, die sich für die Wiedererrichtung besonders eingesetzt haben. Ansprechen will ich auch Herrn Kopel, der als Stadtpräsident mit seinem Gemeinderat die Idee weiter verfolgte, damit dieses Denkmal errichten errichtet werden konnte an dieser herausragenden Stelle und die dafür auch die Finanzierungsmittel beschafften. Ihnen allen möchte ich im Namen der Familie von Reden Dank sagen für dieses uns alle verbindende Zeichen der Völkerfreundschaft.

Bei dieser Denkmalsenthüllung will ich aber beim Danken nicht vergessen die Firma Art Product aus Poznan, die den Entwurf des Künstlers ausführte und die Gestalt gab, die viele Jahre überstehen soll. Und begrüßen will ich Herrn Generalkonsul Doktor Ohr, der hier die Bundesrepublik Deutschland vertritt.

Es ist schon ein besonderer Anlass, der uns an dieser Stelle zusammenführt. Wohl auch ein einmaliger Anlass, denn mit der heutigen Denkmalsenthüllung wird Friedrich Wilhelm von Reden geehrt, ein Mann dessen Wirken 200 Jahre zurückliegt.

Ein Fremder ist es, der geehrt wird. Ein Ausländer - wie wir heute sagen würden - ein Fremder auch für den Staat, in dessen Diensten er hier gewirkt hat. Geboren und aufgewachsen in Norddeutschland, im heutigen Bundesland Niedersachsen, er war also kein Preuße. Mit Leib und Seele war er aber seinem Beruf verbunden, seinem Beruf als „Bergmann“, auch wenn er zusätzlich noch Jurist war. Von Jugend auf war er dem Bergwesen verbunden. Bei seinem Onkel, der den Bergbau im Harz leitete, lernte er das Handwerk. Claus Friedrich von Reden war Mitbegründer der Clausthaler späteren Bergakademie und Berghauptmann.

Friedrich Wilhelm von Reden war sehr strebsam, er war besonders interessiert an den technischen Neuerungen seiner Zeit. Neuerungen konnte er gut in der damals führenden Industrienation England kennen lernen, verinnerlichen und dann hier kopieren und anwenden. Sein Verdienst ist es, die erste Dampfmaschine auf dem Festland hier in Schlesien bauen und einsetzen zu lassen. „Feuermaschine“ sagte man damals - und heute? Heute ist die technische Entwicklung auch über die Dampfmaschine hinweggegangen. Hinweggegangen ist sie auch über die vielen Anwendungsgebiete, die dieser ideenreiche Mann fand und durch hier ansässige Personen gestalten und ausführen ließ, wie Gebrauchsgegenstände, Schmuck und Medaillen aus Eisenguss.

Wie heute hatte damals der Staat zu wenig Geld zum vernünftigen Bezahlen seiner Bediensteten, und so erhielt Friedrich Wilhelm von Reden 1786 den Adelstitel Graf und statt einer Pension nach der Entlassung als Minister erhielt er den Roten-Adler-Orden.

Um Kohle und Eisen zusammenzuführen ließ er Verkehrswege, Straßen und Kanäle bauen. Statt der bisherigen Verhüttung der Erze mit Holzkohle, setzte er Steinkohle ein. Hierfür müsste er heute noch von den Ökologen gelobt werden, denn das weitere Abholzen und die Vernichtung großer Waldflächen wurde überflüssig.

Hier im Lande Schlesien schuf der Oberberghauptmann und Direktor des Oberbergamts einen Mittelpunkt, nein nicht einen Mittelpunkt sondern mehrere Mittelpunkte der damaligen Zeit, denn vergessen dürfen wir nicht sein Wirken in Buchwald, das nicht nur zu einem Anziehungspunkt für Gartengestalter wurde. Seine Saatzüchtungen und Anbaumethoden



PRZEMÓWIENIE Z OKAZJI UROCZYSTEGO ODSŁONIĘCIA POMNIKA FRYDERYKA WILHELMA VON REDENA W CHORZOWIE DNIA 6. 9. 2002

Drodzy zebrani!

Nasze spotkanie dzisiaj posiada dla mnie szczególne znaczenie, dlatego ze wzruszeniem witam wszystkich zebranych. W szczególności witam jednak znakomitego rzeźbiarza, twórcy pomnika którego odsłaniamy. Augusta Dyrdy zamieszkałego Tychach oraz pana Roama Liczby, prezesa Stowarzyszenia przyjaciół Chorzowa im. Juliusza Ligonia, które posiada szczególne zasługi w ponownym ustawieniu pomnika Fryderyka W. von Redena w naszym mieście, oraz przedstawicieli duchowieństwa.

Witam również bardzo serdecznie prezydenta miasta Chorzowa, pana Kopla, który wraz z całą Radą Miasta z entuzjazmem i ofiarnością realizował od początku projekt pomnika czyniąc starania w zakresie finansowania przedsięwzięcia i wyznaczenia miejsca dla pomnika.

Ze wzruszeniem występuje tutaj również w imieniu rodziny von Reden, która wyraża swą wdzięczność i przywiązanie do miasta Chorzowa w imię przyjaźni obu narodów. Witam również bardzo serdecznie znajdującego się wśród nas Konsula Generalnego Republiki Federalnej Niemiec pana Dr. Ohr. Szczególne wyrazy podziękowania kieruje również pod adresem przedsiębiorstwa Art Product z siedzibą w Poznaniu które realizowało projekt pomnika wg pomysłu pana Dyrdy i nadało mu ostateczny kształt.

Odsłonięcie pomnika Fryderyka von Redena następuje z okazji 200 rocznicy oddania do użytku ówczesnej Królewskiej Huty, która jest dziełem bohatera którego dzisiaj czcimy.

Człowiek któremu dzisiaj oddajemy zasłużony hołd przyszedł do nas 230 lat temu z Dolnej Saksoni. Stał na czele komisji która (z polecenia Fryderyka Wielkiego) miała za zadanie zbadanie skarbow, która kryje ziemia Górnośląska, ich wydobycie i wykorzystanie, ciałem i duszą związany był z górnictwem i hutnictwem. Był również prawnikiem, doskonałym organizatorem i sprawnym administratorem. Rzemiosła górniczego nauczył się w kopalniach w Górach Harzu, którymi zarządzał jego stryj Claus Friedrich von Reden, założyciel Clausthaler późniejszej Akademii Górniczej.

Friedrich Wilhelm von Reden był człowiekiem ofiarnym i pracowitym przy czym w szczególności interesowały go wszelkie nowinki techniczne w przemyśle. Na tym odcinku w II połowie XVIII wieku przodował przemysł angielski. Przeto nic dziwnego, że lata 1790 - 1792 spędził w Anglii, gdzie zapoznał się na miejscu z usprawnieniami i wynalazkami technicznymi, które później zastosował w przemyśle górnośląskim. Dowodem tego jest sprowadzanie w 1795 roku pierwszej na Śląsk maszyn parowej służącej do wypompowania wody z kopalni. Tę maszynę zainstalował na kopalni Fryderyka w Tarnowskich Górach. Ówczesny cud techniki budził duże zainteresowanie nie tylko wśród miejscowej ludności, która określiła tą maszynę napędzaną parą „Koniem ognistym”. Dalszy postęp w technice przemysłowej w XIX wieku sprawił, że owa maszyna uległa zapomnieniu.

Człowiek o wielu ideach nowatorskich, dla miejscowej ludności produkował odlewy urządzeń gospodarczych, biżuterię czy medaliony.

Zarobki Redena nie należały do najwyższych. Zarabiał bardzo skromnie. Podobnie jak dziś ówczesne państwo pruskie nie posiadało pieniędzy dla wynagradzania swych wiernych sług. Formą wynagrodzenia za swe zasługi w dziedzinie uprzemysłowienia Górnośląska był fakt wyniesienia Go w 1786 roku przez króla Prus Fryderyka Wilhelma II do godności hrabiego i odznaczenia orderem Czerwonego Orła.

Friedrich W. von Reden posiada również duże zasługi w zakresie budowy infrastruktury Górnego Śląska. Był inicjatorem budowy potężnej sieci ulic i tras służących do transportu węgla, rudy i żelaza. Budował mosty i wiadukty, szkoły, szpitale i osiedla robotnicze o wysokim standardzie. Spowodował topienie rudy żelaza za pośrednictwem węgla kamiennego, a nie jak dotychczas węgla drzewnego, co znacznie obniżyło koszty produkcji i przyczyniło się do ochrony środowiska naturalnego.

Reden posiadał wszechstronne wykształcenie i zainteresowania. Stosunkowo mało znane są jego zasługi w zakresie unowocześnienia rolnictwa i sadownictwa na Górnym Śląsku. Propagował wśród robotników

machten seine Erfahrungen auch für Landwirte interessant. Aber hier wurde mit dem Revier ein industrieller Mittelpunkt geschaffen, der auch den Weimarer „Wirtschaftsminister“ mit seinem Fürsten anzog. Dieser Minister ist uns Deutschen besser bekannt als der „Dichterstern Goethe“. Aus diesem zunächst rein geschäftlichen Zusammentreffen wurde eine persönliche Freundschaft.

Auch nach seiner Berufung zum Minister in Berlin lagen dem Grafen Friedrich Wilhelm von Reden seine Bergwerke und Hütten in Schlesien mit den darin Beschäftigten so sehr am Herzen, dass er gegen den Willen seines Königs dem Eroberer Napoleon einen Treueid leistete. Nur so konnte er das hier Geschaffene erhalten und weiter führen. Dieser formelle Treueid hinderte ihn nicht, dem von der französischen Regierung gesuchten Freiherrn vom Stein Unterkunft zu gewähren und ihn sicher über das Gebirge in das schützende Ausland zu geleiten.

Hier in der neuen Heimat des Grafen Friedrich Wilhelm von Reden entstand auf der Grundlage des Kohlebergbaus eine gesunde und starke Industrie. Dies kann man wohl bezeichnen als den Beginn des Übergangs von der Agrarwirtschaft zur heutigen von Fabriken bestimmten Wirtschaft. Eine Industrie entstand hier in Oberschlesien, die ohne Gastarbeiter (so nennen wir das heute) aus Sachsen und dem Harz nicht auskam. Als später das Ruhrgebiet entstand, brauchte man dort die hier ausgebildeten hochqualifizierten Facharbeiter - und wieder siedelten viele Familien um. Auch ein Verdienst des Grafen von Reden war, dass diese Fachkräfte dank guter schulischer Weiterbildungsmöglichkeiten verfügbar waren.

Durch dieses Denkmal werden wir also erinnert an einen Mann, dessen Arbeit nicht auf den Augenblick ausgerichtet war sondern dessen Wirken auch noch mehr als 150 Jahre nach seinem Tode zu spüren war. Und ganz im Sinne dieser Zukunftsbezogenheit, die uns in absehbarer Zeit hoffentlich eine europäische Einheit bescheren wird, habe ich Ihnen, Herr Stadtpräsident, von den jetzigen Besitzern des Redenhofs in Hameln, dem Geburtshaus des heute wieder auf den Sockel Gehobenen einen Umschlag mitgebracht mit einer kleinen Spende. Wir glauben, dass Sie den Inhalt bestimmt noch gebrauchen können im Zusammenhang mit diesem Denkmal.

Allen hier Versammelten - besonders den bei der Schaffung dieses Denkmals Beteiligten - sage ich meinen herzlichsten Dank, denn heute haben diese Menschen einen Teil zum Fundament der Brücke für das zukünftige Europa hinzugefügt; in einer guten und freundschaftlichen Zusammenarbeit auf beiden Seiten der Oder wird ein neues, ein friedliches Europa entstehen.

Ich danke Ihnen,
dass ich diese
Worte hier sagen
durfte.

Arnd von Reden



Rodzina von Reden, Grundmanna, Idis Hartmann i rzeźbiarz August Dyrda pokazujący medalion otrzymany za wykonanie modelu Fryderyka Wilhelma von Reden

przemysłowych hodowlę nierogacizny, drobiu, gołębi i królików z czego skwapliwie skorzystano.

W 1797 roku przybył do Tarnowskich Gór książę Weimarski Ernest August w towarzystwie swego ministra Kultury Johanna Wolfganga von Goethe znany już wówczas jako „książę poetów”. Goethe zainteresował się nie tylko „ognistym koniem” ale studiował również struktury społeczne na Górnym Śląsku. Często przesiadywał w winiarni Siedlaczka na rynku Tarnogórkim prowadząc gorące dysputy z przedstawicielami miejscowego rzemiosła, handlu i przemysłu. Goethe był również częstym gościem w „Bergamcie” gdzie urzędował Reden i pomiędzy tymi dwoma mężczyznami o identycznych poglądach zaistniała wkrótce serdeczna i przyjaźni.

Doceniając doświadczenie Redena w zakresie zarządzania i organizacji, król Prus Friedrich Wilhelm III powołał go do Berlina na stanowisko ministra przemysłu. Na tym stanowisku nadal interesował się licznymi kopalniami i hutami, a w szczególności hutą **Jedność** będącą w budowie w Siemianowicach oraz najbardziej jak na owe czasy nowoczesną hutą **Donnersmarcków** w Zabrze produkującą najlepszą stal w Europie. Oczkiem w jego głowie była również huta **Baldon** będąca w budowie w Katowicach, ale już produkującą pierwszorzędnej jakości stal.

Gdy w 1806 roku Napoleon zajął Prusy, wojska francuskie wtargnęły również do Górnego Śląska plądrując i rabując co się tylko dało. Rozpoczęły się również represje wobec ludności cywilnej. Cały przemysł górnośląski leżał na łopatkach, kopalnie zalane, huty unieruchomiono. Wśród ludności pozbawioną zarobków rozpowszechniała się bieda i niedostatek. Żeby zapobiec dalszej dewastacji przemysłu na Górnym Śląsku i ulżyć niedoli ludności, Reden złożył wobec Napoleona przysięgę wierno-poddania, za co król pruski obdarzył go swoją nielaską. Ta przysięga jednak nie przeszkodziła Redenowi udzielenia pomocy i schronienia i skierowania do Rosji poszukiwanego przez Francuzów premiera Prus Freiherr von und zu Stein, wielkiego przeciwnika Napoleona.

Główną zasługą Fryderyka von Redena na Górnym Śląsku jest fakt, że na bazie przemysłu górniczego stworzył od podstaw silny i prężny przemysł hutniczy i metalowy. Nie byłoby dzisiaj tego przemysłu, gdyby nie liczna kadra i siła robocza przybywała z Niemiec. Gdy w pierwszej połowie XIX wieku rozwijał się przemysł w Zagłębiu Ruhry wiele rodzin niemieckich przeniosło się na Zachód, a na ich miejsce przybyli Polacy (z Galicji i zaboru rosyjskiego, zwłaszcza po upadku insurekcji Kościuszkowskiej w 1795 roku i Powstania Listopadowego 1831 roku). Byli to tzw. jak to się dzisiaj określa „Gastarbeiterzy”, którzy ale Górny Śląsku już nigdy nie opuszczali i biegiem czasu całkowicie utożsamili się z niemiecką ludnością. Ich potomkowie do dziś żyją i pracują na Górnym Śląsku.

Ogromny wkład w szkolnictwo Redena pozwoliło przyjmować niewykwalifikowanych z Polski, a wyszkoleni szukali też pracy na Zachodzie.

Poprzez ten pomnik, którego dzisiaj odsłaniamy przypomina nam się człowiek, który swoją ofiarną pracą, wytrwałością i uporem stworzył na przełomie XVIII i XIX wieku podstawy przemysłu górnośląskiego zapewniając na przestrzeni 200 lat i nadal milionom ludziom na Górnym Śląsku pracę i chleb.

Panie prezydencie miasta Chorzowa.

Obecnie rodzina von Reden, która nadal żyje i pracuje na swych posiadłościach w rodzinnym Hameln w Dolnej Saksonii, wrzuszona i pełen wdzięczności za pielęgnowanie pamięci ich sławnego przodka prosi pana o przyjęcie za moim pośrednictwem kopertę zawierającą określoną sumę umożliwiającą pokrycie chociażby w części kosztów tego pomnika, ale również jego pielęgnację i konserwację w przyszłości.

Wszystkim tutaj zebranych a w szczególności tym, którzy się aktywnie przyczynili do ustanowienia pomnika Fryderyka von Reden w imieniu społeczeństwa Górnego Śląska, rodziny von Reden z Dolnej Saksonii oraz własnym wyrażam serdeczne podziękowanie.

W ten sposób przyczyniliście się do umocnienia pomostu łączącego narody po obu stronach Odry w imię zjednoczonej i pokojowej Europy.

Dziękuję Wam jeszcze raz za przybycie na odsłonięcie pomnika i stworzenia mi możliwości wygłoszenia tego przemówienia.

Arnd von Reden

(tłumaczenie z języka niemieckiego: *Peter Karl Szczepanek*)

*Wersja oryginalna (niemiecka)**Tłumaczenie na polski*

DIE SPRACHENFREUNDLICHE GEMEINDE EINE AKTION VON: NORDFRIISK INSTITUUT, NIEDERDEUTSCHES ZENTRUM, SYDSLESVIGSK FORENING GEMEINSAM MIT DEM SCHLESWIG- HOLSTEINISCHEN GEMEINDETAG, KREISVER- BAND NORDFRIESLAND

Sprachen zu lernen ist von zentraler Bedeutung für die künftige gesellschaftliche, kulturelle und wirtschaftliche Entwicklung in Europa. Daher hat die Europäische Union gemeinsam mit dem Europarat das Jahr 2001 zum Europäischen Jahr der Sprachen (EJS) ausgerufen und finanzielle Unterstützung für Projekte zur Verfügung gestellt, die den Zielen des EJS entsprechen. Der Wettbewerb "Sprachenfreundliche Gemeinde" wurde als einziges Projekt für Schleswig-Holstein in diese Förderung aufgenommen und wird veranstaltet von dem Nordfriisk Instituut in Bredstedt, dem Plattdüütsch Zentrum in Leck und dem in Flensburg.

Die gesamte Aktion wird finanziell gefördert durch einen Zuschuss der Europäischen Kommission, durch das Land Schleswig-Holstein, die Kulturstiftung des Kreises Nordfriesland sowie den "Förderverein Plattdüütsch-Zentrum". Die Sprachgruppen tragen jeweils auch einen eigenen finanziellen Anteil und steuern ihre Arbeitskraft zum Gelingen des Projekts bei.

Das Projekt "Sprachenfreundliche Gemeinde" wird als Wettbewerb durchgeführt, um einen zusätzlichen Anreiz für die Gemeinden zu verstärkter Unterstützung der Mehrsprachigkeit zu geben. Gemeinden und Ämter, die aktiv die Mehrsprachigkeit in ihrem Zuständigkeitsbereich fördern, sollen im Sprachenjahr 2001 eine Plakette als Auszeichnung erhalten. (siehe: Veranstaltungen/Aktuelles)

Der Kriterienkatalog, der einer Beurteilung zugrunde liegt, enthält als Hauptpunkte:

1. Mehrsprachige Verwaltung

Beispiele:

- Beschilderung in und an öffentlichen Gebäuden (z.B. Informationstafeln, Hinweisschilder, Aushänge)
- Angebot von Trauungen in unterschiedlichen Sprachen
- Anrufbeantworter/Warteschleife
- Briefköpfe, Freistempler
- Internetpräsentation
- Stellenausschreibungen (bilden Sprachkenntnisse eine nennenswerte Zusatzqualifikation in Verwaltung, Kindergarten, Sozialstation usw.?)

2. Sprachgebrauch bei öffentlichen Veranstaltungen etc. sowie Veröffentlichungen

Beispiele:

- öffentliche Reden von Gemeindevertreter/innen
- Sprachgebrauch bei Gemeinde- oder Stadtvertretungen und in anderen kommunalen Gremien
- Informationsbroschüren
- Chroniken

3. Aktive Förderung von sprachpflegerisch tätigen Institutionen, Vereinen etc.

Beispiele:

- aktive Förderung vorhandener Einrichtungen (z.B. regionalsprachige Literatur in Büchereien)
- Förderung von Projekten (z.B. Tagungen, Sprachreisen)
- Mitgliedschaft in Vereinen und Einrichtungen
- Unterstützung von mehrsprachiger Erziehung (z.B. Kindergarten, Schule, Schülerbeförderung)
- Angebote in Bildungseinrichtungen wie Volkshochschulen und Ortskulturringen

4. Beschilderungen

Beispiele:

- Straßen
- Radwege
- Ortstafeln
- Hinweisschilder
- Begrüßungsschilder

5. Kulturelles Leben

Förderung des kulturellen Lebens durch die Gemeinde in Hinblick auf Mehrsprachigkeit., z.B. in folgenden Bereichen:

- Schule
- Theater
- Literatur
- Vereinsleben
- Gottesdienste, Trauungen, Taufen

WIELOJĘZYCZNA GMINA AKCJA INSTYTUTU PÓLNOCFRYZYJSKIEGO, OŚRODKA DOLNEJ NIEMCZYZNY, TOWARZYSTWA POŁUDNIOWOSZLEZWICKIEGO, Z POPARCIEM SEJMIKU GMIN KRAJU ZWIĄZKOWEGO SZLEZWIK-HOLSZTYN ORAZ ZWIĄZKU POWIATÓW PÓLNOCFRYZJI

Nauka języków ma centralne znaczenie w społecznym, kulturowym i gospodarczym rozwoju przyszłej Europy. Z tego względu Unia Europejska wraz z Radą Europy ogłosiła rok 2001 Europejskim Rokiem Języków (ERJ) i zmobilizowała środki finansowe na wsparcie projektów, które przysłużą się celom ERJ. Konkurs „wielojęzyczna gmina” – jako jedyny projekt w Szlezwiku-Holsztynie – został uznany jako godny wsparcia w ramach ERJ.

Organizatorami konkursu są: Instytut Północnofryzyjski (**Nordfriisk Instituut**) w Bredstedt, Ośrodek Dolnej Niemczyzny (**Plattdüütsch Zentrum**) w Leck oraz Duński Sekretariat Generalny (**Dansk Generalsekretariat**) we Flensburgu.

Cała akcja uzyskała ponadto wsparcie Komisji Europejskiej, Kraju Związkowego Szlezwik-Holsztyn, Funduszu na Rzecz Kultury Powiatu Fryzja Północna oraz Towarzystwa ku Wspieraniu Ośrodka Dolnej Niemczyzny

(**Förderverein Plattdüütsch-Zentrum**). Ponadto każda grupa językowa we własnym zakresie udziela się finansowo oraz energicznie wspiera realizację projektu.

Projekt „wielojęzyczna gmina” zostanie przeprowadzony w formie rywalizacji międzygminnej w celu stworzenia dodatkowego bodźca dla gmin, aby te w większym stopniu wspierały wielojęzyczność. Gminy i urzędy, które na obszarze przez siebie administrowanym aktywnie ją wesprą zostaną wyróżnione w Roku Języków 2001 medalem.

Katalog kryteriów, które podlegają ocenie, wyszczególnia następujące inicjatywy:

1. Wielojęzyczna administracja

Przykłady:

- Napisy i tablice w oraz na budynkach publicznych (n p : tablice informacyjne, wywieszki, ogłoszenia)
- Możliwość ślubów w językach mniejszościowych
- Automatyczna sekretarka
- Pieczętki, nagłówki listów
- Prezentacja internetowa
- Ogłoszenia o miejscach pracy (czy znajomość języków stanowi ważną dodatkową kwalifikację w administracji, przedszkolu, przychodni itd.) ?

2. Używanie języka na imprezach publicznych jak również w publikacjach gminnych

Przykłady:

- Publiczne przemówienia polityków gminnych.
- Używanie języka w przedstawicielstwach miast i gmin oraz w innych gremiach komunalnych
- Broszury informacyjne
- Kroniki

3. Aktywne wspieranie instytucji, towarzystw itd., które pielęgnują język mniejszościowy.

- Aktywne wspieranie istniejących instytucji (n.p.: literatura w mowie regionalnej w bibliotekach)
- Wspieranie projektów (n.p.: konferencje, wycieczki językowe)
- Członkostwo w odpowiednich stowarzyszeniach i instytucjach
- Popieranie wielojęzycznego wychowania i edukacji (n.p.: w przedszkolach, szkołach; itd.)
- Możliwość edukacji w ośrodkach edukacyjnych, uniwersytetach ludowych oraz w gminnych domach kultury

4. Oznakowania drogowe:

Przykłady:

- Nazwy ulic
- ścieżki rowerowe
- tablice z nazwami miejscowości
- tablice orientacyjne
- Tablice, napisy powitalne

5. Życie kulturalne

Wspieranie życia kulturalnego gminy w zakresie języka mniejszościowego n.p.:

- Szkoła
- Teatr

- Chorarbeit

6. Integration von ausländischen Mitbürgern

Gibt es in Ihrer Gemeinde ausländische MitbürgerInnen und haben diese noch sprachliche Verständigungsprobleme? Was wird in der Gemeinde für ein freundschaftliches Miteinander getan?

- Sprachkurse
- Sportverein
- Kirche
- soziale Einrichtungen
- sonstige Kontakte/Maßnahmen

Für die Teilnahme am Wettbewerb "sprachenfreundliche Gemeinde" ist die Erfüllung sämtlicher Punkte nicht Voraussetzung. Die Kriterien und Beispiele verstehen sich als Vorschläge. Eigene Ideen werden von der Jury mitberücksichtigt. Im Bereich der Privatwirtschaft können beispielsweise Betriebe zu regionalsprachiger Beschilderung und auch Werbung angeregt werden, Restaurants können ihre Speisekarte zwei- oder mehrsprachig gestalten usw.

Die sprachliche Vielfalt Nordfrieslands ist eine zusätzliche Attraktivität der Region!

Die Aktion Sprachenland Nordfriesland fordert mehr Öffentlichkeit für die Sprachen Friesisch, Niederdeutsch, Süderjütisch, Dänisch in Nordfriesland. Mit Inkrafttreten der Sprachencharta zum 1.1.1999 sind für diese Forderung bessere Rahmenbedingungen geschaffen worden, die es umzusetzen gilt.

Das Projekt "sprachenfreundliche Gemeinde" ruft alle Gemeinden und Ämter in Nordfriesland dazu auf, den kleinen Sprachen in ihrer Region einen öffentlich sichtbaren Stellenwert einzuräumen. Für die Umsetzung werden hier (s.o.) Vorschläge gemacht. Wenn eine Gemeinde gerne bei diesem Projekt mitmachen möchte, aber heute die Voraussetzungen noch nicht erfüllt, dann kann sie sich trotzdem melden. Es wird dann miteinander der Zeitpunkt vereinbart, wann eine Auszeichnung möglich sein wird.

Ansprechpartner:

- **Nordfriisk Instituut**, Süderstraße 30, 25821 Bräist/Bredstedt, NF, Tel: 04671/2081, Fax: 04671/1333, e-mail:
- **Niederdeutsches Zentrum/Plattdüüsch Zentrum**, Flensburger Straße 18, 25917 Leck, NF, Tel: 04662/77272, Fax: 04662/77273
- **Südslesvigsk Forening**, Neustadt 95, 25813 Husum, NF, Tel: 04861/5493, Fax: 04841/63618; Lorenz Jannsen Str. 1, 25899 Niebüll, NF, Tel: 04661/2755; Am Hafen 30, 25832 Tönning, NF, Tel. 04861/5493
- **Gemeindetag Nordfriesland**, Geschäftsstelle: Karin Martinsen, Osterdeich 64, 25927 Naischöspel/Neukirchen, NF, Tel: 04664/940013, Fax: 04664/9830337

- Literatura
- Towarzystwa
- Nabożeństwa, śluby, chrzesty
- Chór

6. Integracja obcokrajowców

Żyją w gminie obcokrajowcy, którzy mają problemy z językiem? Co gmina czyni dla zgodnego współżycia miejscowych z przyjezdnymi?

- Kursy językowe
- Towarzystwa sportowe
- Kościół
- Socjalne instytucje
- Inne działania itd.

Żeby uczestniczyć w konkursie „Wielojęzyczna gmina”, gmina nie musi spełnić wszystkich wymienionych kryteriów. Przykłady te i kryteria to jedynie propozycje. Jury uwzględni własne pomysły uczestników. Gminy mogą również zachęcać prywatne zakłady i przedsiębiorstwa do wielojęzycznego oznakowania i reklamy, restauracje mogą wystawiać jadłospis w języku mniejszościowym itd.

Językowa różnorodność Północnej Fryzji to dodatkowa atrakcja regionu !!!

Akcja „Północna Fryzja krajem wielojęzycznym” podnosi prestiż języków: fryzyjskiego, dolnoniemieckiego, południowojuckiego oraz duńskiego w Północnej Fryzji. Poprzez ustanowienie europejskiej karty o ochronie języków mniejszościowych i zagrożonych z dnia 1.1.1999 stworzono lepsze warunki ramowe, które teraz należy wcielić w życie. Organizatorzy konkursu „Wielojęzyczna gmina” wzywają wszystkie gminy i urzędy Północnej Fryzji do przyznania „małym” językom regionu większego, na zewnątrz widocznego znaczenia. Jeśli gmina chce wziąć udział ale jeszcze nie spełnia warunków uczestnictwa, może mimo to się zgłosić. W takim przypadku zostanie ustalony okres czasu do spełnienia warunków uczestnictwa przez gminę.

Partnerzy:

- **Nordfriisk Instituut**, Süderstraße 30, 25821 Bräist/Bredstedt, NF, Tel: 04671/2081, Fax: 04671/1333, e-mail:
- **Niederdeutsches Zentrum/Plattdüüsch Zentrum**, Flensburger Straße 18, 25917 Leck, NF, Tel: 04662/77272, Fax: 04662/77273
- **Südslesvigsk Forening**, Neustadt 95, 25813 Husum, NF, Tel: 04861/5493, Fax: 04841/63618; Lorenz Jannsen Str. 1, 25899 Niebüll, NF, Tel: 04661/2755; Am Hafen 30, 25832 Tönning, NF, Tel. 04861/5493
- **Gemeindetag Nordfriesland**, Geschäftsstelle: Karin Martinsen, Osterdeich 64, 25927 Naischöspel/Neukirchen, NF, Tel: 04664/940013, Fax: 04664/9830337

przysłała: **Grzegorz Wieczorek** (pacz str. 4, Po owocach ...)

KASZĚBSCZĚ ABECADŁO

(w klamrach fonetycznô zôpis kaszĚbsczich zwâków wedle pòlszczich lĚtrów)

- a A
- ą Ą - (um - dąb, un - ksądz)
- ă Ă - (ą)
- b B
- c C
- cz Cz - (ć)
- d D
- e E
- é Ę - (e+y)
- ě Ě - (krótczě e)
- f F
- g G
- h H - (njemě)
- i I
- j J
- k K
- l L
- ł Ł
- m M

- n N
- ń Ń
- o O
- ò Ȯ - (Ě)
- ó Ó
- ô Ô - (o+y)
- p P
- r R
- s S
- sz Sz - (ś)
- t T
- u U
- ù Û - (Ě, u+y)
- w W
- y Y
- z Z
- ź Ż - (ż)

Jak co czytać? - ABC fonetyki i pisowni

Podkreśleniem zaznaczamy na tej stronie sylabę akcentowaną - w pisowni tego się nie robi wcale.

ò - ue. Gdy występuje po 'w' lub 'h' - tychże spółgłosek nie czytamy (są głuche).

ù - ui, uy. Gdy występuje po 'w' lub 'h' - tychże spółgłosek nie czytamy (są głuche).

ã - nosowe a

ą - nosowe o

é - jako y lub yj. W zestawieniu z poprzedzającym 'i' nie czytamy go wcale.

ě - czytamy jako bardzo krótkie 'e' cofnięte nieco do tyłu, co zbliża je do dźwięku 'a'.

ô - wymawiamy jako głoskę do której wargi układamy jak do 'u' a język jak do 'e' lub 'y'. Często w potocznej i szybkiej mowie to zaokrąglenie warg zanika.

ó - wymawiamy zasadniczo jak polskie 'u'. Gdy występuje po 'w' lub 'h' - tychże spółgłosek nie czytamy (są głuche).

i oraz y - czytamy jak twardsze niż w polszczyźnie 'i'. Zapis 'i' albo 'y' nie ma żadnego znaczenia dla wymowy, jest podyktowany wyłącznie tradycją.

u - wymawiamy jako 'u' artykulacyjnie przesunięte do przodu (zwięzone wargi jek we francuskim u) albo jako dźwięk tożsamy z głoską i/y (patrz wyżej).

Spółgłoski szeregu szumiącego **sz, ź, cz, dź** - wymawiamy miękko. Tzn. 'sz' jako dźwięk pośredni między 'sz' a 'ś', 'ź' jako dźwięk pośredni między 'ź' a 'ż' itd.

Spółgłoskę 'rz' wymawiamy raczej twardo, jak polskie 'ż'. W niektórych rejonach istnieje wymowa miękka lub fryktywana (tzn rozbita na dwie głoski r+ż).

<http://cogito.univ.gda.pl/~woitiki/kaszebe/abecadlo.html>

Jăzëk kaszëbsczi je jăzëk zôpadnosto-wionsczi. Je to jăzëk pòmòrsczi. Stòł sã samòbëtny kòl XIVw. Prziczëna ôddzeleniô sã kaszëbiznë ôd jinszëch słowionsczëch jăzëków bëła midzë jinszima grańca na rzëce Notecë jaka bëła pôlniowã grańcã Pòmòrzô a téz fakt brzãt-wieniô sã lëdztwa etniczno kaszëbsczëgò wzdluż sztrãdu Bòłtu, wnażającë sã wzdluż tak zwóny jednostronny ôsë wnożny. Jinaczëj bëło na przëmiôr z lëdã pòlsczim, jaczi wnażôł sã dwùstronno wedle Wisłë.

Grańce jăzëkówë kaszëbiznë mieniałë sã ë ôb ostatné pôràset lat ji zasyg zmiészil sã ë przësënął na óst. Terô je mòżno nacëchòwac je pòkòzëjącë nôslédné place: Gdunsk - Stòrà Kiszewã - Czersk - Chònice - Człochów - Miastkò - Stolpsk, przë czym sã to mòle bënë grańców kaszëbiznë.

Ùżëwanië jăzëka kaszëbsczëgò nie je taczë same w nëch wszëtczëch mòlach, na przëmiôr kòl Pùcka abò Strzëpca bezmała kòzden gòdò pò kaszëbskù. Zato w aglomeracëjach jak Gdunsk na kòl 50 tës. Kaszëbów niewiele ùziwò tegò jăzëka na codzëń.

Spòdlowë merdzi kaszëbiznë je mòżno krótkò ôpisac na nôslédny ôrt:

1. Mióna rëdzi cësżacy (ś, ź, ć, dź) na régã sęcżacã (s, z, c, dz). Na przëmiôr sedzec na zemi - pol. 'siedzieć na ziemi', cemno - pol. 'ciemno'.

2. Kònsëkwentné ùtrzëmanië ôpòzycëji samòzwãk widny : samòzwãk pòchilony, jaczë mieniają sã doobno jak pò pòlskù róg : rogu. Pò kaszëbskù ta mióna doticzi wszëtczich samòzwãków. Np. brzòd:brzadu, dim:dëmù, lud:lëdu, snieg:sniegù, sztrąd:sztrãdu. Ôkóm tegò je w jăzëkù ôpòzycëjò samòzwãkù widnégò w nieòznacznikù ë rozkòzownikù do pòchilonégò we wszëtczich jin-szëch fòrmach czasnika. Np. gadac - gòdóm - gòdò.

Mieniającë sã samòzwãczy pòkòzëje nôslédno tòfla:

	Widné	Scesnioné
Gãbòwë:	a	ô
	o	ó
	ë	i/y, u
	e	é
Nosowë:	ã	ą

3. Rozwij grëpë TorT w grëpã TarT. Np. warna, barda, warbel, starna, gard - por. pol. 'wrona, broda, wróbel, strona, gród'.

4. Zmitczenië samòzwãkù przed ar : cwiardi, czwiòrtk.

5. Rozwij sonantu l w ôl/ol. Np. stolp, tołmaczëc, wòlk, pòłt, kòłp, mòłniò.

6. Dzëlowò denalizacëjò psl. ę/ą w ë/i. Np. klëkac, przësëgac, jastrzib, cyc.

7. Przëcëc spòłzwãków k', g' w cz, dź. Np. taczì dlëdżi dżibczì czij - por. pol. 'taki długi gibki kij'

8. Labializacëjò samòzwãków o, u, ó. Ne samòzwãczy jeżlë stojã pò spòłzwãkach p, b, f, w, m, k, g, h, jinszëch samòzwãkach, abò na zaczątkù słowa, dostòwają przed se labialny element (zwãk ł) tzn. mieniają sã na nôslédny ôrt:

o > łe w pisënkù: ò

u > ły w pisënkù: ù

ó > łu w pisënkù bez miòn.

Np. òkò, mòwa, pòle, bürza, nieübëtny.

Jeżlë przed nym samòzwãkã bëł spòłzwãk w, nen znikò. Np. wòda, wùja [łëda, łyja].

9. Jinszi rozwij jerów z czego wëchòdò np. niesyga tzw. e rësznégò (ke. kòtk, kòtkã, por. pol. kotek, kotka) ë rozwij jeru we szwã ë, np. grzëmòt.

Pawel Szczypa

www.zk-p.pl/leksykon/jezyk.htm

PISMO SWIYNTE PO SLONSKU, CZ. V

POTOMKI OD SETA

To je lista potomków od Adama. Kej Ponboczek zrobiliy czuowieka, to go zrobiliy podobnym do sia. Zrobiliy Ponboczek chopã i kobyta, pobuogosuawiliy ich i dali im miano „ludzie”, kej ich stworzyli.

Adam bou sto czidziysci lot stary to urodziou mu sie synek, podobny do niego choby z obrozka, i dou mu Set. Kej sie Set urodziou , to Adam zou jeszcze osiymset lot i miou jeszcze synkow a cery. Cuzamyn do kupy bou Adam dziewiynset czidziysci lot stary kej zawar slypia. Set bou sto piync lot stary, to urodziou mu sie synek Enosz. Kej sie urodziou Enosz to Set zou jeszcze osiymset siedym lot i miou synkow a cery. I zawar slypia Set jak bou cuzamyn do kupy dziewiynset dwanoscie lot stary. Kej Enosz bou juz dzie-wiynzdiesiont, urodziou mu sie synek Kenan. I zou Enasz, po tym kej mu sie Kenan urodziou, osiymset piyntoscie lot i miou synkow a cery. Enasz zawar slypia , to bou cuzamyn do kupy dziewiynset piync lot stary. Kej Kenan bou siedymdziesiont, to urodziou mu sie Mahalaleel. A po tym kej sie urodziou Mahalaleel zou Kenan osiymset cztyrdziysci lot i miou synkow a cery. A kej Kenan bou juz cuzamyn do kupy dziewiynset dziesiync lot stary, to zawar slypia. Kej Mahalaleel bou szesdziesiont piync urodziou mu sie synek Jered. A po tym jak sie urodziou Jered zou Mahalaleel jeszcze osiymset czidziysci lot i miou synkow a cery. Kej Mahalaleel bou cuzamyn do kupy osiymset piync a dziewiynzdiesiont lot stary, to zawar slypia. Kej Jered bou sto dwa a szesdziesiont lot stary, urodziou mu sie synek Henoch. A po tym kej sie urodziou Henoch, Jered zou osiymset lot i miou synkow a cery.

Jered bou cuzamyn do kupy dziewiynset dwa a szesdziesiont lot stary , kej zawar slypia. Kej Henoch bou szesdziesiont piync lot stary, urodziou mu sie synek Metuszelach. Henoch po tym kej mu sie urodziou Metuszelach zou fajnie „ze Ponboczkym” czista lot i miou synkow a cery. Cuzamyn do kupy zou Henoch czista piync a szesdziesiont lot. Zou tak Henoch fajnie „ze Ponboczkym”, a potym sie straciou, bo go Pon Bog wzynli do sia. Kej Metuszelach bou sto siedym a osiymdziesiont lot stary, urodziou mu sie Lemek. Po tym kej sie urodziou Lemek, zou Metuszelach siedymset dwa a osiymdziesiont lot, i miou synkow a cery. Metuszelach zawar slypia jak bou cuzamyn do kupy dziewiynset dziesiync a szesdziesiont lot stary. Kej Lemek bou sto dwa a osiymdziesiont lot stary , urodziou mu sie synek. Dou mu miano Noe i pedziou: on nych nom bydzie pociëchom we robocie kole ziyimi, o kero sie staromy, kero Ponboczek przeklyli. Kej sie urodziou Noe, Lemek zou jeszcze piyncset piync a dziewiynzdiesiont lot, i miou synkow a cery. Kej zawar slypia bou cuzamyn do kupy siedymset siedym a siedymdziesiont lot stary. A kej Noe bou piyncset lot stary, urodziyli mu sie Sem, Cham i Jafet.

CZ. VI

POTOP

Bezco bou potop.

A kej ludzi robiouo sie corozki to wyncyj na ziymi, rodziouy im sie cery. Syny od Ponboczka merkli, co cery od czuowieka som fajne, wzynli bezto te, kere im sie przipodobauy, za kobyty. Ny tyn czas Pon Bog pedzieli: Dusza naszo niyma možno byc dzech w czuowieku, skisz tego, co czuowiek je ze ciaua; nych tysz beztosz zyje ino sto dwadziescia lot. We uonych czasach byli na ziymi olbrzimy; a potym tysz, kej syny od Ponboczka prziuazyli ku cerom od czuowieka, te im rodziouy bajtli. One byli znone mocorze, kerych uonego czasu kozdy znou. I Pon Bog uwidzieli ize pieronym niyfajnie robiom ludzie na ziymi i co herce od nich sie ku zuymu richtujom. Markotno sie Ponu Bogu zrobiliou, co takich ludzi zrobili na ziymi. Na tyn czas Pon Bog pedzieli: Weg przidom, ze ziyimi po keryj uazom, ludzie kerych my zrobiliy: ludzie, bydłontka, wszysko zywe co krichuje i ptoki we lufcie, i markotno bouo Ponboczkowi ize to wszysko narichtowali. Ino Noymu byli Ponboczek radzi.

A to je geszichta od Noego.

Noe zou richtich po uczëiwymu, niy jak inksze we uonym czasie; zou fajnie ze Ponboczkym. A te czi synki byli od Noego: Sem, Cham i Jafet. Ziyimia zrobioua sie fest zadno do Ponboczka oczow. Kej Ponboczek uwidzieli ize tako zadno je ziyimia, i co wszyske ludzie tak niyfajnie zyjom, to pedzieli do Noego: Zrobimy szlus ze tymi, co som zadne, co niy po naszymu zyjom. Ty ino idz i obsztaluj se arka ze drzewa gofer; narichtuj dryny przegrodki, a ze kozdyj zajty pomazej jom terom. A tak mosz ta arka narichtowac: czista okci mo byc ona dugo, piyndziesiont okci szyroko, i na czidziysci okci mo byc ona wielko. Obsztaluj tysz na niyj dach, na okec w wyrch, coby dowou swiatuo, i dzwiyza na zajcie od tyj arki tysz majom byc. Czi piyntra nych mo ta arka; na dole, druge i czecie. My zasik zrobimy tak co przindzie potop, coby weg bouo wszyske zywe pod niebym. Ze tobom bydymy czimac szatama(przimierze). Wlyz rajn do arki i wez twoich synkow, twoja kobyta i kobyty od twoich synkow. Wez tysz ze wszyskego co je zywe kozdo pora, samca i samica, coby potym dalj bouo i zouo. Kozdo pora ze ptokow we lufcie, bydłontkow i coukego zywego co krichuje na ziymi, nych przidzie rajn do arki, coby bouy i zouy. A ty se zabier tysz za tela jodua - wszyskego co sie nadowo do jedzynio - coby bouo joduo do cia i fu-ter do wszyskego zywego. Tak tysz Noe wszysko narichtowou i obsztalowou jak mu Pon Bog kozali.

Szwager

DIE WEIBER VON GLEIWITZ

Ihr wisst ja, wohl, wo Gleiwitz liegt,
Wo ritterliche Frauen
Einst brav und tapfer obgesiegt
Ohn' alle Furcht und Grauen?
Das Städtchen Weinsberg nicht allein,
Auch Gleiwitz soll gepriesen sein.

Wer kennt nicht wohl den Schreckenskrieg
Von dreißig langen Jahren?
In diesem rettete ein Sieg
Stadt Gleiwitz aus Gefahren,
Ein Sieg, erkämpft durch Weiberlist,
Die größer als des Satans ist.

Die Schweden rückten tapfer an,
Zu stürmen Wäll' und Mauern,
Und denken so in ihrem Wahn:
Es kann nicht lange dauern.
Doch – plötzöich flieg an ihren
Kopf,
Mit Hirsen heißgefüllt, ein Topf.

So flog, der heiße Hirsebrei
Auf sie von allen Seiten;
Er brannte ärger sie als Blei,
Sie hörten auf zu streiten;
Sie zogen eilends sich zurück:
Gelungen war das Wagestück.

So sah durch Weiberheldenmut
Das Städtchen sich geborgen;
Erhalten wurde Hab' und Gut,
Verschleucht war Gram und Sorgen;
Denn durch den heißen Hirsebrei
Sah Gleiwitz sich nun wieder frei.

MARTIN OPITZ

Je ale tako teoria (eli prawdziwo, pieron to wiy), co tyn konsek faktycznie niy Martin Opitz ino jakis inkszy Opitz ze Wrocuawia we XIXw. Naszkryflou.

Bou kedys jedyn Slonzok co uaziou we Glywicach do gimnazium i kery wydou w 1848 roku swoj zbior konskow(wierszow) , on tysz naszkryflou to po polsku. Bouo mu Antoni Stabik i to je ta jego wersja abo jak kery chce tuplikowanie:

GLIWICZANKI

Wiecie dobrze, gdzie Gliwice,
Co dzielnościom sie wslawily,
Gdy mezatki i dziewice
Wroga z miasta wypędzily.

Warto spiewac o tym czynie,
By wiedzieli potomkowie,
Ize miasta ocalenie
Winni madrej, babskiej glowie.

Bo gdyby nie te dziewice,
Dawno zginely Gliwice.

Tak niewiasty sie wslawily
Jako dzielne amazonki,
Zony mezow ocalily,
Panny poszly na malzonki.
A Gliwice niespodziany
Wyratowal war jaglany

Antoni Stabik

GLYWICKE BABY

Wiyecie przeca, co glywicke
Baby sie niy bojom nic.
Kedys sie sebrauy wszycke
Coby wroga srogo bic.
Miasto Weinsberg, tukej godom,
Wele Glywic yntom srogom.

Kery niyzno dugyj wojny?
Trwaua ze czidziysci lot.
Babow pomog roz czyn zbrojny,
Co do Glywic cesta znod.
Baby sie tak pokozauy,
Aze dziobuy uciykauy.

Szwedy stoli pod muroma,
Chcieli z Glywic szace zwiysc.
Tak rombali armatoma,
Coby ludziom stracha wklysc.
W to gorke krupy, z nieba hic,
Wylouy baby, niy na pic.

Tak lou sie z nieba gorki glut
Na wroga z kozdyj strony.
Tyj bryji z krupow stou sie cud
I cofli sie „jerony”.
Pieronske Szwedy poszli weg.
A bou to siedymnosty wiek.

Odwaga babow z Glywic to
Pobioua armia wroga.
Pamiynto dzisieij jeszcze wto,
Jak Szwedy dali noga?!
Jaglanych krupow dziejow szpic
Naszkryfnou tak Martin Opitz.

Szwager

ze strony www.glywice.de.tf

WSTOWEJCIE!

Cwiyrko za oknym
Cilip blank mauy
Bo sie obudzioiu
I furgac zas chce
Oczepou z piorkow
Kropelki co spauy
Razym z cilipym
W gauynziach we snie
Wstowejcie kwiotki
Bajtle wstowejcie
Rozwarte slypka
Niych smiejom sie zas
Na trowa na kwiotki
Na placu kukejcie
Bo one z rana
Przinosuy wom szpas
Kwiotek jak cilip
Bajtle jak ciample
Wszysko juz wstowo
I lacho sie zas
Juz "Klara" swiyaci
Jak byrna we lampie
Dyc ze wstowanym
Zas wstanou i szpas
I slimok juz stanou
I pieronym ziywo
Bo on sie po leku
Rozkulac zas chce
I ino niywiy
Czamu cilip spiywo
Onymu nojlepij
We domku we snie
A sniouo sie prawie
Slimokowi dzisio
Jak lezou na trowie
Pod kwiotkym i spou
A konsek kyjzy
Do niego som prziszou
Coby na pierogi
Se slimok go miou
A o czym wom sie
Tak dzisieij to sniouo
Ize se wstanonc
Wom niychee w tyn czas
Napewno o tym
Jak za bajtla bouo
Jak juz od rana
Chytaliscie szpas

Szwager

Nôkladã wêdôwiznê ROST ùkôzôl sã
zbiêrk wiêrztów Michala Piépra pòd
titlã Wanoga pò mësłach. Zawierô 32
wiêrztë przede wszëtczim z 90ëch lat.
Ksążeczka je do kùpieniô w sedzbie
wêdôwiznê w Baninie-Dąbrowie, w
krómach kaszëbsczich ë na stojisz-
czach na rozegracëjach ôbêhdowëch.

WÈDÔWK WIÈRZTÓW PIÉPRA

Cemnë blônë spią,
Nad głowama karuzel.
Żôden nie chcôł wrzeszczec,
Czedë cëchôsc rosła.
Wrôzk rozklôdôł rãce,
Bajkôwã kùglã pòtlukł.
Panôrz szormów ôstrzil,
Kôłce kãstawëch grzëmôtów.
W kôzdim wezdrzeniu hęc,
Rozgrzônô wëbùchã pòmstë.
Ôdzin polëkôł czas.
Kô gwësno môgło bëc tak ùbëtno...
Cëchi zôtor wiecznegò cygù,
Zbùrzëła kaskada bezrëchù.
Walë ôdplëwajacë zrësił szorm,
Wënëkajacë wiecznegò skòczka.
Melodijô ùlubionô, ùkôlibônô.
Nicht nie bëł w sztãdze rozdmùchac
blôn,
Krzëkù zdëszcë,
Nastôł paralusz, niesëga chwatu,
Chòc tëlì bëło słów z nama,
Nigdë nie wërzeklëch.
Chaos w damieniu.
Kô gwësno môgło bëc tak ùbëtno...

Michôł Piépra

Ôbaczë téz w dzëlu Lëteratura
www.zk-p.pl/odroda/
Ôbaczë téz w dzëlu Lëteratura
www.zk-p.pl/liter



Redaguje zespół związany z www.EchoSlonska.com

Redagiert die Gruppe um www.EchoSlonska.com

Kopiowanie i rozprowadzanie *Echa Slonska* jest dozwolone a nawet wskazane przy zachowaniu jego redakcyjnej formy. Przejęcie fragmentów tekstów jest dozwolone po podaniu źródła.

Das Kopieren und Verbreiten der vollständigen Ausgaben von *Echo Slonska* ist erlaubt und so auch gewünscht. Die Übernahme von Textausschnitten ist bei der Quellangabe gestattet.

Uwagi, spostrzeżenia, teksty do publikacji prosimy nadsyłać na adres:
redakcja@EchoSlonska.com.
Zapraszamy wszystkich do współpracy.

Bemerkungen, Anregungen und Beiträge zur Veröffentlichung bitte an die Adresse: redakcja@EchoSlonska.com richten.
Wir laden alle zur Mitarbeit ein.